

KS. JÓZEF PASTUSZKA

Archiwa, Biblioteki  
i Muzea Kościelne. T. 25: 1972WSPOMNIENIA Z LAT 1915—1917  
O SEMINARIUM DUCHOWNYM W PETERSBURGU*Moim Profesorom i Kolegom  
z owych lat in memoriam*

## WSTĘP

Pierwsza wojna światowa (1914—1918) wywołała doniosłe zmiany dziejowe: Polsce przyniosła niepodległość, radykalnie zmieniła kartę polityczną Europy i zapoczątkowała szereg procesów ideowych, które później znalazły swój wyraz w wielkich przemianach społecznych.

Wojna ta, choć nie brałem w niej czynnego udziału, zaważyła również na moich losach życiowych. Wyrwała mnie ze spokojnego, prawie sielskiego trybu życia w środowisku sandomierskim i rzuciła na daleką północ, do Petersburga, który na początku wojny został przemianowany na Piotrograd (Polacy mówili zazwyczaj Piotrogród), a obecnie nazywa się Leningradem. Tam przebywałem trzy lata, najpierw jako kleryk tamtejszego Rzymskokat. Seminarium Duchownego (1915—17), a następnie jako alumn Akademii Duchownej w ostatnim roku jej istnienia (1917—18).

Lata tam spędzone były dla mnie wielką przygodą życiową o dramatycznych momentach, które nieraz stawiały mnie na krawędzi niebezpieczeństwa życia, narzuciły trudne warunki bytowania, których ciężar, a nieraz grozę sytuacji łagodził młodzięczy optymizm życiowy, wciąż przeżywana i pielęgnowana wizja powrotu „na Ojczyznę łono” i wiara w lepszą przyszłość.

Nie tyle chęć odtworzenia dawnych, nieszablonowych zresztą losów własnego życia, skłoniła mnie do skreślenia wspomnień, ile obowiązek społeczny. Seminarium Duchowne w Petersburgu kształciło księży dla całej środkowej i wschodniej Rosji, podtrzymywało tam Kościół Katolicki, a pośrednio odegrało ważną rolę w zachowaniu polskości na terenach olbrzymiego cesarstwa. Dla tysięcy i milionów Polaków mieszkających w Rosji Kościół Katolicki był ostoją patriotyzmu, a nie tylko życia religijnego. Seminarium Duchowne w Petersburgu położyło ogromne, może wciąż zapoznavane i niedoceniane, zasługi dla rozwoju życia religijnego i polskiego w państwie carów. Jego organizacja, jego życie wewnętrzne, jego działalność kościelna są prawie nieznanne. Wspomnienia niniejsze są skromną próbą przekazania historii szkieletowego obrazu tej wielce zasłużonej instytucji dla Kościoła i Polski

w ostatnich latach jego istnienia. A ja osobiście zawdzięczam jej dużo, bo zachowanie przy życiu, wykształcenie teologiczne i dużo serca, jakiego doznałem ze strony profesorów-wychowawców i kolegów. Wspomnienia te niech będą jednocześnie aktem serdecznej, głębokiej wdzięczności za wszelkie doznane od nich dobro i pożegnaniem ich — już za grób!

## 1. DROGA NA WSCHÓD

Pierwszy rok wojny światowej, 1914/15, spędziłem (ur. 1897 r.), już jako kleryk Niższego Seminarium Duchownego w Sandomierzu, we wsi Rzecznioówek, pow. Iłża, gub. radomskiej (obecnie woj. kieleckie), w domu u rodziców. Seminarium Duchowne w Sandomierzu było wówczas nieczynne. Przez pierwsze dwa miesiące wojny działały w tamtych okolicach niewielkie grupy wojsk rosyjskich, walczące z wysuniętymi oddziałami wojsk austriackich. W dn. 15 sierpnia rozegrała się pod Iłżą bitwa pomiędzy rosyjskim Pułkiem Tuskim, złożonym w większości z polskich żołnierzy z radomskiego i kieleckiego, a grupą wojsk austriackich. Odległość pola bitwy od Rzecznioówka wynosiła 14 km, dobrze słychać było huk armat, a potem widzieliśmy przejeżdżające transporty z rannymi. Przez cały wrzesień toczyły się drobne potyczki wysuniętych oddziałów kawaleryjskich obu wojsk.

Dopiero na początku października przeszły przez okolicę i moją wieś duże grupy wojsk niemieckich, które zdążyły ku Wiśle, celem jej sforsowania i zajęcia Warszawy. Po nich nadeszły wojska austriackie. Po trzech tygodniach walk nad Wisłą nastąpił szybki odwrót tych wojsk. Ich zachowanie, podobnie jak i postępowanie wojsk rosyjskich, było poprawne: nie było grabieży, gwałtów, zabójstw ludności cywilnej. Ale wojna jest wojną. Gdy w sąsiedniej wsi Pawliczka patrol niemiecki nocował w stodole i dowiedziały się o tym stacjonujące w pobliżu oddziały kozackie, te napadły na śpiących Niemców, podpaliły stodołę i wystrzelały ratujących się ucieczką żołnierzy. Wkrótce nadeszły duże oddziały niemieckie, które za karę spaliły połowę wsi, ale nie wzięto zakładników, ani nikogo z ludności nie rozstrzelano. Na ogół wszystkie wojska płaciły za rekwizowaną żywność.

Od listopada 1914 r. było w naszych okolicach spokojnie. Wróciły cywilne władze rosyjskie, życie toczyło się dawnym torem, tylko słychać było daleki huk armat, bo front oddalony był o jakieś 150 km. Ceny też nieco podskoczyły i dawał się odczuwać brak pewnych towarów. W marcu 1915 r. zjechali do wsi oficerowie rosyjscy, naszkicowali plany fortyfikacji, jakie miały być budowane, i zaczęli werбовать ludność do kopania wokół wsi okopów, tzw. blindaży. Wkrótce też rozpoczęto ich budowę. Do biura rachunkowego został m. in. zaangażowany mój młodszy brat Antoś (lat 14), uczeń IV kl. szkoły średniej, który w charakterze pracownika pozostał do października, tułając się z kolumną roboczą aż do Mińszczyzny. Zniszczył sobie zdrowie i nabawił się choroby serca.

W maju 1915 r. rozeszły się pogłoski o przerwaniu frontu rosyjskiego pod Goricami i o ewentualnym wycofaniu się Rosjan z całego Królestwa Polskiego. Przewidywano ewakuację naszej wsi i wysiedlenie ludności poza linię frontu. Istotnie, w połowie czerwca zaczął cofać się front. Coraz bliższy i głośniejszy był huk armat i coraz częściej zaczęły się pojawiać oddziały wojskowe, które się wycofywały zazwyczaj nocą. Moja rodzinna wieś Rzecznioówek oraz wsie okoliczne zostały ewakuowane i ludność otrzymała rozkaz wyjazdu za Wisłę. Część ludności ukryła się po lasach, a inni znaleźli czasowy przytułek u mieszkańców wsi położonych bliżej Wisły.

Nasza rodzina, tj. rodzice i 6 dzieci (ja byłem najstarszy, najmłodsza siostra miała półtora roku, a brat Antoni musiał wyjechać za Wisłę z biurem okopowym) znaleźliśmy schronienie we wsi odległej o 10 km, a stamtąd przesunięto ewakuowanych aż nad Wisłę. Gdy front się zbliżał, a przynaglenia carskiej policji były natarczywsze, rodzice postanowili przejechać za Wisłę, a mnie doradzono udać się do Mińszczyzny, do znajomych, a stamtąd ewentualnie do Petersburga.

Panikarskie nastroje, fantastyczne plotki rychłego powrotu wojsk rosyjskich, lekkomyślna wiara w szybkie zakończenie wojny sprawiły, że ludzie nieopatrznie opuszczali swe domy i gospodarstwa i jechali na wschód. Mój ojciec zawiózł mnie na plebanię do Góry Puławskiej, gdzie zastałem kilku wyjeżdżających księży, którzy najniepotrzebniej rzucili swoje parafie i ruszyli przed siebie. Pozegnałem się z moim kochanym ojcem w nadziei, że jednak rodzice zostaną na miejscu, a później wrócą do wsi rodzinnej. Stało się inaczej. W parę dni potem przyłączyli się do tłumu uciekających, za Wisłą nie mogli się zatrzymać i dopiero po miesiącu tułaczki ukryli się w lasach za Bugiem (k. Kobrynia) i tam obok nich przeszedł front. W drodze umarła najmłodsza córeczka, żołnierze niemieccy zabrali im konie oraz wóz i wynędziali rodzice z resztą drobnych dzieci wrócili do pustego domu w końcu września. Ja z bratem Antonin zostaliśmy po drugiej linii frontu.

Moja wędrówka była też niełatwa. Wsiadłszy do pociągu w Puławach (jechałem wtedy koleją pierwszy raz w życiu), wyruszyłem w świat mając 100 rubli w kieszeni i małą walizkę z rzeczami (bielizna i jesionka). Początkowo jechałem z innymi księżmi uciekinierami, a później obrałem kierunek na Mińsk, dokąd po trzech dniach głodując dojechałem. Za Mińskiem mieszkali znajomi rodziców, tam się zatrzymałem, a stamtąd skierowano mnie do najbliższej plebanii, do Łohojska, w pow. borysowskim. Tamtejszy proboszcz, ks. Hanicz, przyjął mnie gościnnie, umieścił z innym klerykiem i z ks. Jachimowskim, późniejszym kanclerzem Kurii Polowej. Po dwóch tygodniach okólną drogą wyjechałem do Mińska i wyruszyłem do Petersburga, by starać się o przyjęcie do Seminarium Duchownego. W drodze zgubiłem rzeczy i na miejsce dojechałem z trudem po dwóch dobach tylko w tym, co miałem na sobie, bez bielizny dodatkowej, bez jesionki, bez pieniędzy. Liczyłem wówczas 18-ty rok życia, byłem niezaradny, niedoświadczony, niesamodzielny. Miałem w sobie dużo młodzieńczego idealizmu życiowego, uosobiałem naturę kontemplatywną, żyjącą życiem wewnętrznym, nie zawsze dopasowaną do twardych wymogów życia.

Po 20 sierpnia st. stylu czyli na początku września znalazłem się w Petersburgu, ówczesnej stolicy Cesarstwa Rosyjskiego. Po przyjeździe zgłosiłem się do Seminarium Duchownego i na podstawie świadectw oraz dzięki poparciu ks. A. Szymańskiego, profesora Akademii Duchownej, zostałem przyjęty na III kurs. Przedstawiłem się również, podobnie jak inni przybyli z obcych diecezji klerycy, ówczesnemu rządcy archidiecezji, ks. biskupowi Janowi Cieplakowi, który życzliwie się do nas odniósł i przyjęcie mnie zatwierdził.

## 2. SEMINARIUM DUCHOWNE

Katolickie Seminarium Duchowne (Rimsko-Katolickieskaja Duchownaja Siminaria) była jedyną uczelnią kształcąca kapłanów katolickich dla archidiecezji mohylowskiej (siedzibą arcybiskupa był Petersburg), której granice rozciągały się od Dniepru, obejmowały całą środkową i północną Rosję europejską, Syberię i Azję środkową, należącą do Imperium Rosyjskiego. Archidiecezja mohylowska i jej Seminarium przechodziły różne koleje losu.

a. Z przeszłości Seminarium. Pierwszy rozbiór Polski (1772) oddał Rosji tereny zamieszkałe przez znaczny odsetek ludności katolickiej. Dla tej ludności utworzono już w grudniu 1772 r. biskupstwo białoruskie ze stolicą w Mohylowie nad Dnieprem. Według spisu oficjalnego liczba rzymskokatolików wynosiła w r. 1776 około 300.000, obsługiwanych głównie przez zakonników w 149 parafiach. W r. 1783 biskup mohyłowski, podniesiony do godności arcybiskupa, zamieszkał w Petersburgu. Po drugim i trzecim rozbiorze Polski Rosja zajęła biskupstwa wileńskie, inflanckie, żmudzkie, łuckie, kijowskie i kamienieckie, które rządząca podówczas caryca Katarzyna II zniósła i włączyła do archidiecezji mohyłowskiej. Za cesarza Pawła I, życiowego dla katolików, doszło do porozumienia ze Stolicą Apostolską, wskutek czego utworzono diecezję wileńską, żmudzką i łucko-żytomierską, uzależnione od arcybiskupa mohyłowskiego jako metropolity.

Na tych terenach istniały do r. 1843 cztery seminaria duchowne, prowadzone zazwyczaj przez ks. misjonarzy, a mianowicie: w Krasławiu na Inflantach (dla Łotyszów), w Białymstoku (dla Wileńszczyzny), w Żwinogródku (dla Ukrainy) i w Mohylowie (dla Białorusi).

W 1843 r. rząd rosyjski zniósł te seminaria i stworzył z nich jedno — w Mińsku. Liczyło ono przeciętnie 40 kleryków, ale i jego los został przypieczętowany w 1869 r., kiedy to zniesiono diecezję mińską. Przez 10 lat arcybiskupstwo mohyłowskie było pozabawione uczelni duchownej. Dopiero w r. 1879 arcybiskup A. Fijałkowski zdołał uzyskać zezwolenie na otwarcie Seminarium Duchownego w Petersburgu. Otrzymało ono uposażenie dla rektora, inspektora, trzech profesorów duchownych i pewnej liczby świeckich, którzy mieli nauczać przedmiotów humanistycznych, a przede wszystkim historii i literatury rosyjskiej. Istniała wprawdzie w Petersburgu od 1842 r. Akademia Duchowna, przeniesiona z Wilna, ale ta spełniała inne cele i nie mogła zastąpić seminarium duchownego.

Założone w 1879 r. Seminarium liczyło początkowo tylko 12 kleryków, ale z biegiem lat liczba ich wzrastała i w końcu XIX w. było ich już 90. Wzrastała również liczba katolików w Cesarstwie Rosyjskim. W połowie XIX w. (1852) wydzielono z archidiec. mohyłowskiej katolików zamieszkujących tereny nad Morzem Czarnym i utworzono dla nich nową diec. chersońsko-tyraspolską z siedzibą biskupa w Saratowie nad Wołgą. Przeważała tam ludność katolicka niemiecka, tak samo biskup i większość członków kapituły katedralnej byli Niemcami.

Ale archidiecezja mohyłowska była nadal olbrzymią, liczba katolików wciąż wzrastała i potrzeby duszpasterskie były ogromne. Według urzędowego kościelnego spisu kościołów i duchowieństwa z 1914 r. archidiec. mohyłowska, łącznie z diec. mińską, której odrębność w dokumentach kościelnych zawsze zaznaczano, liczyła: kościołów parafialnych 221, kościołów filialnych 88, kaplic samodzielnych w różnych punktach parafii, gdzie były okresowo, ale stale odprawiane nabożeństwa dla katolików — 520. Kapłanów własnych było wtedy 431, a z innych diecezji 24.

Równoległe z rozrostem potrzeb duszpasterskich zwiększyła się liczba kleryków w Petersburskim Seminarium Duchownym. Gdy w 1900 r. liczyło ono 90 kleryków, to w 1911 było ich już 119, a w 1914 (w pierwszym roku wojny światowej) 142; przy czym na poszczególnych kursach było: na V — 19, IV — 22, III — 39, II — 32 i na I — 30. W r. 1915/16 liczba ta podniosła się znacznie, ponieważ napłynęli nowi klerycy z Królestwa Polskiego, najwięcej z diec. sejneńskiej i wileńskiej. Liczba kleryków dochodziła wówczas do 170, choć przyływ kandydatów na I rok był mniejszy, z powodu okoliczności wojennych. Corocznie było święconych około 20 nowych kapłanów.

b. Seminarium Duchowne w 1915 roku. Budynek Seminarium Du-

chównego znajdował się przy ul. 1 Rota 17. Ta dziwna nazwa ulicy pochodzi od rozlokowania koszar poszczególnych kompanii Izmańłowskiego Pułku piechoty rosyjskiej, nazywanych rotami. Równoległe do tych koszar zostały usytuowane ulice z domami mieszkalnymi, sklepami, cerkwiami i zachowały dawną wojskową nazwę, choć same koszary zajmowały niewielką, w porównaniu z całością, przestrzeń. Pomiędzy ul. Fontanką, gdzie mieścił się Konsystorz Rzymskokat. (dawną nazwa Kurii Biskupiej) a ul. 1 Roty był duży ogród, należący do arcybiskupa katolickiego, i u jego wylotu zbudowano w drugiej połowie XIX w. kościół metropolitalny pod wezw. Wniebowzięcia NMP. Stanowił on pewnego rodzaju ciekawostkę w skali stosunków carsko-rosyjskich. Konsystorz Katolicki uzyskał zezwolenie na budowę kościoła katedralnego, ale ten nie mógł się ani wysokością, ani zewnętrznym wyglądem różnić od zwykłych budynków tej ulicy (stylowy kościół mógłby urazić uczucia prawosławne). Architekt wywiązał się należycie z zadania: zaplanował duży kościół katedralny na podobieństwo wielkowiejskiej kamienicy. Tylko niewysokie schody, obramowane cienką balustradą i zakończone nieznaczną kopułą o wyglądzie daszku, uwiecznionego małym krzyżem, wskazywały na kościół katolicki. Obok, po lewej stronie schodków, było wejście do Seminarium Duchownego. Było ono dużą, trzypietrową kamienicą, przebudowaną w końcu XIX w. z hotelu na zakład wychowawczo-naukowy. Adaptacja budynku nie mogła usunąć pewnych dostosowanych do hotelu pomieszczeń, co nie odpowiadało nowemu przeznaczeniu (np. amfiteatr sal wykładowych, brak szerszych korytarzy, brak obszerniejszej kaplicy itp.). Do wewnątrz prowadziły zwykłe drzwi, jak do innych sąsiednich kamienic. Wchodziło się do niewielkiego korytarza, z którego na prawo prowadziły drzwi do kościoła katedralnego, a na lewo — do gmachu Seminarium, które tym samym było bezpośrednio połączone z katedrą. Mieszkańcy Seminarium szli wprost do kościoła, nie wychodząc na ulicę. Blisko wejścia do Seminarium było mieszkanie ks. rektora. Zasadniczo cały parter od ulicy zajmowały lokale wynajmowane na sklepy usługowe, a od strony ogrodu — kuchnia i pralnia, mieszkania służby i magazyny. Tam również była długa, dość ciemna sala jadalna (refektarz).

Na I piętrze mieściły się sale wykładowe, wyposażone w staroświeckie, niepraktyczne dębowe ławki szkolne i katederkę dla profesora, nad którą wisiał na ścianie niewielki krucyfiks. Sale miały mało światła i zazwyczaj do godz. 10 rano paliły się w nich lampy elektryczne. Do sal wykładowych przylegały dwie przyjemne sale rekreacyjne. Był tam fortepian, a na ścianach wisiały portrety arcybiskupów mohylowskich. Sala ta była wykorzystana więcej pomiędzy wykładami, gdyż po obiedzie i wieczorem szliśmy do ogrodu na przechadzkę, albo grupkami gromadziliśmy się w salkach korytarzowych, gdzie mieściły się umywalnie. Salki te były dość przestronne i widne, ale chłodne, bo nieopalone, a podłogę miały z posadzki, podczas gdy w pokojach były podłogi z desek, a w salach wykładowych — szary parkiet.

Mieszkania dla kleryków znajdowały się głównie na II i III piętrze, wzdłuż długich i dość krętych wąskich, ciemnych korytarzy, w środku których były trzy duże umywalnie — jak w koszarach starodawnego pokroju, z dużą okrągłą mosiężną misą, nad którą unosił się dużych rozmiarów basen z wodą, spływającą w dół za naciśnięciem metalowych wtyczek. Obok basenu mogło się ustawić jednocześnie ok. 15 osób. Umywalnie te były nieopalone, w zimie bardzo chłodne. Klerycy słabi czy rekonwalescenci uzyskiwali pozwolenie mycia się w miednicach w pokojach mieszkalnych. Cele te były niewielkie, 3—4 osobowe. Obok ścian ustawione były łóżka, etażerki na książki oraz czarne stojaki na ubrania. W środku był stół z wiszącą lampą elektryczną z zielonym abazurem. Łóżka miały

pościel seminaryjną, jednakową, która mogła być zastąpiona przez pościel własną. Podłoga była malowana na czerwono i co tydzień na zmianę musieli ją myć klerycy. Była to praca męcząca. Można było do niej wynająć służących Seminarium za odpowiednią, zresztą niewysoką, opłatą. W piecu paliliśmy węglem, którego było początkowo pod dostatkiem, ale od 1916 r. wydzielano go w szczupłych ilościach. Pokoje-celki służyły nam za sypialnie i miejsca dla nauki. We drzwiach do pokoi mieszkalnych były niewielkie otwory szklane (oczy), które kiedyś dawały możność wychowawcom kontrolowania z korytarza mieszkających tam kleryków, ale w moich czasach (podobno od początków XIX w.) otwory te były nieczynne, pozaklejane nieprzejrzystą tekturą. Kaplica seminaryjna znajdowała się na II piętrze, była skromnie urządzona, ciasna, przerobiona ze zwykłej sali, wybielona wapnem, z kilku obrazami o tematyce religijnej. Ołtarz był skromny, ale ładnie ubierany i zależnie od uroczystości kościelnych ozdabiany odpowiednimi obrazami, umieszczanymi nad nim. Obok głównej sali kaplicznej czynna była zakrystia, druga przylegająca salka dla części kleryków, nie mieszczących się w sali głównej. Od strony północnej wyjście z Seminarium było szeroką, brukowaną alejką, prowadzącą między zabudowaniami seminaryjnymi (mieszkania profesorów) a kościołem katedralnym ku ogrodowi, który mógł mieć około hektara powierzchni i oddzielony był od dalej położonego ogrodu biskupiego drewnianym parkanem. Z ogrodu korzystaliśmy regularnie codziennie po obiedzie i po kolacji, zwłaszcza w lecie i na wiosnę. Na zewnątrz wychodziliśmy tylko w celach koniecznych zakupów, do lekarza i dla zwiedzenia miasta. Wychodziliśmy małymi grupami. Tylko do łaźni szliśmy razem wszyscy, co pewien czas wczesnym rankiem, przynajmniej raz na miesiąc. Do wzbuchu rewolucji (1917) Seminarium w Petersburgu było dotowane: skarb państwa płacił na każdego kleryka, a ponadto alumni otrzymywali ubranie (sutannę) i zimową pelerynę, bieliznę, książki. Później dotacje personalne zostały wstrzymane, ale zakład rozporządzał pewną ilością „kazionnej” bielizny, pościelą i książkami, co ułatwiło zamieszkanie w Seminarium kleryków przyjezdnych, niedostatecznie wyposażonych w rzeczy codziennego użytku. Seminarium posiadało wewnętrzną pralnię bielizny, co zresztą było konieczne ze względu na trudności kontaktów ze światem zewnętrznym. Wychodząc na miasto w sutannach nie spotykaliśmy się z objawami niechęci, czy z szykanami. Spoglądano na nas z ciekawością, czasami nazywano „piewczyje”, bo tak ubrani byli śpiewacy chórów cerkiewnych, czasami „polskie seminarysty”, traktowano nas poprawnie, często życzliwie.

### 3. ŚRODOWISKO KLERYCKIE

Przyjęty do Seminarium w drugiej połowie sierpnia (st. styl kalendarza), znalazłem się w nowym środowisku kleryckim. Na wstępie spotkała mnie niemiła przygoda. W tych samych dniach wrócił po wakacjach kleryk z Grodzieńszczyzny, z objawami wysokiej gorączki, którą lekarz uznał za symptom cholery. Wszystkich przebywających z nim kleryków, w tej liczbie i mnie, skierowano na kwarantannę do baraków, tam wydezynfekowano i przetrzymano parę dni, głodnych, załężnionych. Rzecz ciekawa, że gdy nam mierzono temperaturę, mieliśmy wszyscy ponad 37,5°C. Po paru dniach zwolniono nas do domu.

W tym samym czasie przyjechali tamtejsi klerycy z wakacji. Znaleźli się również w Seminarium klerycy z innych seminariów, którzy byli zmuszeni opuścić swe diecezje, w liczbie około 40. W ten sposób w Seminarium zgromadziło się około 170 kleryków. Najwięcej obcych było z seminarium wileńskiego, sejneńskiego i ko-

wieńskiego. Z Królestwa Polskiego było nas kilkunastu. Pod względem narodowościowym ta społeczność klerycka przedstawiała dość barwną mozaikę. Najwięcej było Polaków, bo ponad 2/3 całego składu, do których należało zaliczyć znaczną część Białorusinów, uważających się za Polaków. Drugą, ilościowo znaczną grupę, stanowili Łotysze, pochodzący z południowej Łotwy (dawne polskie Inflanty). Nielicznych Litwinów, należących do Seminarium Mohylowskiego, wzmocnili ilościowo przybysze z Sejn i Kowna. Było kilku „uświadomionych” Białorusinów, było dwóch autentycznych Rosjan i jeden Niemiec z Kurlandii. Przybysze byli traktowani na równi z klerykami miejscowymi i w obcym środowisku czuli się dobrze. Zżerała ich jednak tęsknota za krajem ojczystym i czuli się wyrzuceni na obcy brzeg. Nieraz zbieraliśmy się razem i prowadziliśmy rozmowy będące właściwie wspomnieniami o przeszłości i marzeniem o przyszłości. Nazywano nas „koroniarzami”. Utrzymywaliśmy serdeczne, prawdziwie koleżeńskie stosunki z tamtejszymi klerykami a poszczególne przyjaźnie nie były wyznaczane przez przynależność diecezjalną, lecz przez osobiste sympatie. Z Polski nie mieliśmy korespondencji. Dopiero około grudnia 1915 r. zawiadomiono nas, że przez ambasadę hiszpańską można przesłać jednorazowo wiadomość o sobie do Polski i stamtąd oczekiwać odpowiedzi. Skorzystaliliśmy skwapliwie z tej okazji i — jak się dowiedziałem po powrocie — rodzice przestali być tak niespokojni; otrzymawszy szczerze wiadomości o mnie — mniej się martwili. Ja zaś odpowiedzi od nich nie otrzymałem przez trzy lata.

W seminaryjnej społeczności kleryckiej, będącej zlepkiem kilku narodowości, nie było kwestii narodowej. Językiem domowym, rodzinnym, którym między sobą się porozumiewano, w jakim zwracaliśmy się do profesorów i podawano do wiadomości ogłoszenia władzy seminaryjnej, a nawet prowadzono niektóre wykłady, np. homiletyki, teologii moralnej, Pisma św. był język polski. Na tle językowym nie było żadnych sporów, waśni czy nieporozumień. Poza Łotwą katolicką (Inflanty) nie było też w archidiecezji mohylowskiej terenów, które byłyby zamieszkałe przez katolików nie-Polaków w zwartej masie. We wszystkich katolickich kościołach Rosji głoszone kazania po polsku (poza parafiami łotewskimi). W Rosji jeszcze w tym czasie nazwa katolik była równoznaczna z pojęciem Polaka. Klerycy-Łotysze, jeżeli nie znali języka polskiego, szybko go opanowywali. Opiekował się nimi podówczas ks. Józef Rancan, późniejszy arcybiskup w Rydze, który miał z nimi wykłady z języka i literatury łotewskiej oraz ćwiczył ich w głoszeniu kazań po łotewsku. O kolegach Łotyszach zachowałem z tego czasu dobre wspomnienia: byli kolegami dobrymi, delikatnymi w obejściu, życzliwymi i uczynnymi. Moim kolegą z tego samego kursu był Wajwod, obecny rzymskokat. arcybiskup w Rydze.

Klerycy-Polacy tamtejsi wywodzili się z terenów, które przed rozbiorem należały do Polski, a więc z gub. wileńskiej, mińskiej, witebskiej i mohylowskiej. Pochodzili najczęściej z tzw. szlachty zaściankowej, albo z rodzin urzędniczych. Był również pewien procent kleryków, synów katolickich chłopów białoruskich, których przynależność narodowa była niewyklarowana. Tylko kilku z nich miało wyraźne narodowe oblicze białoruskie, ale bez akcentów antypolskich. Mówiono o nich, że mają swoje kółko białoruskie, którym opiekował się ks. prof. Abrantowicz.

Polacy kresowi mieli nieco inną wymowę polszczyzny: albo pod wpływem języka białoruskiego zmiękczali nadmiernie zgłoski, kończące się na „ci”, „si”, np. lekcja, albo — jeżeli pochodzili z centralnych guberni rosyjskich — te same dźwięki wymawiali twardo, bez zmiękczeń, np. „dzisiaj” jak „dzysaj”, „dzękuje”. Poza tym język polski nabierał w ich ustach jakiejś chropowatości, stawał się jeszcze mniej melodyjny, a prosta, wyzbyta momentów estetycznych i ozdób stylistycznych mowa, traciła na uroku i dźwięczała jakoś inaczej. Ponieważ język polski

w szkołach za Bugiem nie był wykładany, nie przeszedł on tej ewolucji, jaka miała miejsce w Kongresówce, czy w tzw. Galicji; tamtejszy potoczny język jakby zatrzymał się na poziomie XVIII w. Obfitował w rusycyzmy i uproszczone wyrażenia. Poza tym sama wymowa, różniąca się nieco od wymowy „koronarzy”, inaczej uformowała się pod wpływem wymowy narzecza rosyjskiego czy białoruskiego, jakie w swoisty sposób kształtowały krtań i gardło człowieka. Ta wymowa kresowa miała jednak swój urok, była jakaś prostsza, bardziej naturalna, bliższa języka ludowego. Uboższa była polszczyzna Łotyszów, którzy języka uczyli się w Seminarium, a nie wynieśli jej z domu rodzinnego. Opanowali oni ją na ogół dobrze i poprawnie władali mową polską w słowie i piśmie.

Wydaje mi się również, że Polacy kresowi różnili się od „królewiaków” pewną powolnością psychiczną, byli może mniej obrotni, mniej umyślowo rzutcy, ale za to bardziej prostolinijni, poważni i bardziej serdeczni a zarazem bezkompromisowi w swych twierdzeniach. Reprezentowali oni nieco inny typ psycho-fizyczny, na którego ukształtowanie złożyły się nie tylko pierwiastki rasowe, ale i przyroda: szare duże równiny, brak gór, rozległe łąny, mało urodzajna gleba, sporo jezior, rzeczek i łąk, ciemne, bo ani na zewnątrz ani wewnątrz nie bielone chaty drewniane, monotonne śpiewy ludowe, pewna szarzyzna krajobrazu, sprawiająca, że i twarze ludzkie wydawały się jakieś szare, smutne, budzące współczucie. Mnie przynajmniej nawet lasy północne wydawały się inne, jak inny był odcień nieba. Ludzie tam urodzeni i wychowani musieli być nieco inni. Podobno Białorusini reprezentują dziś względnie czysty typ prasłowiański, bo najmniej są rasowo pomieszani. Gdy Rosja na wschód od Dniepru jest mocno przesycona pierwiastkami mongolskimi, albowiem dawniej osiadłe tam narodowości wschodnie miały tamże swoje siedziby i uległy stopniowej asymilacji; kiedy znów na zachód od Bugu ziemie polskie ulegały różnym najazdom i wchłonięły w siebie wiele różnorodnych pierwiastków rasowych, a przede wszystkim sporo elementu niemieckiego, to obszary białoruskie znalazły się jakby na uboczu, dokąd fale obcych napadów nie docierały tak głęboko. Stąd jakaś odrębność rasowa ludności zamieszkującej dziś te terytoria.

Ta inność kraju i ludzi sprawiła, że Polacy kresowi nie czuli się dobrze w środkowej Polsce, że księza stamtąd pochodzący a pracujący w Królestwie nie mogli się całkowicie zaaklimatyzować i chętnie wracali gdzieś dalej za Bug, do diecezji pińskiej, czy do Wileńszczyzny.

#### 4. KOLEDZY

Koledzy, których zapamiętałem i o których zachowałem z tamtejszych czasów najlepsze wspomnienia, byli dość liczni. Nasze drogi życiowe rozeszły się i tylko czasami spotykałem się z niektórymi z okazji jakichś zjazdów, uroczystości kościelnych itp. Tylko kilku z nich pozostało przy życiu.

Aleksandrowicz Apolinary, miły komik, wesoły, pogodny, dowcipny, był jakiś czas proboszczem w diec. kieleckiej, a następnie wrócił do Pińszczyzny, gdzie się lepiej czuł.

Borysowicz Antoni, starszy ode mnie o trzy lata, studiował potem w Akademii Duchownej w Petersburgu, wrócił do kraju, ukończył wydział prawa Uniw. Jagiellońskiego, był prefektem Gimnazjum SS. Nazaretanek w Kaliszu. II wojna zastała go w Wilnie; od r. 1955 pracował na Podolu, gdzie pod swą opieką miał 50.000 katolików. Zmarł w 1966 r., bardzo zasłużony dla Kościoła i polskości.

Dąbrowski Antoni pochodził z Dyneburga, w 1917 r. wstąpił do OO. Jezui-



tów, przedostawszy się do Polski przez Finlandię. Później przyjął obrządek wschodni oraz pracował w diec. pińskiej i siedleckiej.

Niedźwiedzki Władysław — bliski kolega, pochodził z diec. kieleckiej. Po powrocie był proboszczem w Kielecczyźnie (Moskorzew) i na Dolnym Śląsku. Zmarł przed paru laty jako kapelan siostr zakonnych k. Warszawy.

Mackiewicz Antoni, dobry i bliski mi kolega, dzielny proboszcz, pochodził z Wileńszczyzny. Powróciwszy do kraju był proboszczem w Mirze. W r. 1942 został przez Niemców zamordowany (zagazowany w samochodzie).

Siekierko Waław wrócił do Wilna i pracował również w duszpasterstwie. Zginął od bomby w podziemiach kościoła św. Rafała w Wilnie.

Siekierko Zygmunt, brat Waława, był proboszczem w archidiec. wileńskiej. Jeszcze żyje jako emeryt w Ciechanowcu.

Janowski Seweryn pracował w Wileńszczyźnie i zginął podczas wojny.

Rojko Antoni był rektorem Niższego Seminarium Duchownego w Drohiczynie, a po wojnie przeniósł się na Ziemię Zachodnie i tam zmarł w 1958 r.

Krzywicki Michał pochodził z Mińszczyzny. Ukończył KUL, był profesorem Seminarium Duch. w Pińsku, a po wojnie administratorem apostolskim w Drohiczynie, gdzie przed paru laty zmarł.

Kisielis Józef, Litwin z Kowieńszczyzny, duszpasterzował w diec. pińskiej i tam zmarł w czasie wojny. Dobry kolega i ksiądz.

Kulpeksza Aleksander, pochodzący ze wsi białoruskiej, pracował do wojny w diec. pińskiej a po r. 1945 na Pomorzu i w Olsztyńskim.

Jassewicz (Jasiewicz) Józef pochodził z Białorusi, ale po pierwszej wojnie przeniósł się do Łodzi, gdzie był profesorem seminarium duchownego, a następnie dyrektorem „Księżówki” w Zakopanem, gdzie przed kilku laty zmarł.

Stefanowicz Władysław był przed wojną prefektem gimnazjum w Nieświeżu, a po r. 1945 proboszczem w Perlejewie diec. w Drohiczynie, gdzie zmarł przed paru laty.

Dwaj kapelani wojskowi: Aleksandrowicz Antoni (przy dywizji w Baranowiczach) i Skorel Józef (ukończył Uniw. Warszawski, później był majorem WP i głównym kapelanem szkół podchorążych w Warszawie) zmarli w r. 1940.

Borowiecki Stanisław pochodził z Piotrkowskiego, wrócił do kraju, był proboszczem w Kielcach i tam zmarł w 1945 r. na zawał serca.

Dabulewicz Bronisław wrócił do diec. wileńskiej i tam wkrótce zmarł.

Zalewski Antoni po powrocie do kraju był prefektem w Grodnie i w innych szkołach, gdzie gorliwie i owocnie pracował. Po drugiej wojnie światowej był rektorem kościoła w Białymstoku i tu zmarł w 1970 r.

Z nazwiska tylko wspominam takich kolegów jak Szawdzinis Mieczysław, Małowski Stanisław, Sześciuk Walery, Chomicz Paweł, Żylewicz Henryk, Pietkiewicz Józef, Kasperowicz Aleksander, Majewski Stanisław, ale o ich losach nie wiem.

Żyje dotąd trzech kolegów z Seminarium Petersburskiego: Juniewicz Edward ukończył gimn. w Wilnie, a seminarium w Petersburgu (był dziekanem kleryków) i rok w Akademii Duch. Pracował jako wikariusz w Petersburgu (pisał o nim Anglik Cullagh), a po powrocie był ojcem duchownym w seminarium w Pińsku. Po drugiej wojnie światowej wstąpił do OO. Redemptorystów i tam pracuje gorliwie i wydajnie: wygłasza konferencje relig., prowadzi rekolekcje, jest cenionym spowiednikiem i ojcem duchownym. (Uzupełnił niniejsze wspomnienia).

Ruran Antoni wróciwszy do kraju ukończył KUL, był prefektem szkół w Warszawie, jest kapelanem siostr zakonnych w Milanówku. Delikatny i uczynny w sto-

sunkach koleżeńskich, gorliwy kapłan, wywierał duży wpływ duszpasterski na młodzież, wśród której pracował. (Te moje notatki uzupełniał i dodał wiele cennych szczegółów, zwłaszcza z życia księży profesorów).

Ussas Bronisław wstąpił do Seminarium po ukończeniu studiów prawnych w Petersburgu. Po pierwszej wojnie wrócił do Warszawy, gdzie gorliwie pracował jako prefekt. Zgromadził dużą bibliotekę rusycystyczną. Obecnie już po 80-tce przebywa w Domu Księży Emerytów w Otwocku.

Żyje też mój starszy kolega z Petersburga, pochodzący spod Radomia, Grzebalski Władysław, który później był proboszczem w mojej rodzinnej parafii Rzecznów, a obecnie jest emerytem w Ostrowcu.

Trzech moich kolegów Łotyszów z Seminarium Petersburskiego uzyskało godność biskupią. Ks. Wajwoda Józef był kolegą z tego samego kursu. Należał do zdolnych, pilnych kleryków. Później nie spotkałem się z nim nigdy. Słyszałem że pełnił odpowiedzialne obowiązki w Kościele, a od paru lat jest arcybiskupem ryskim.

Ks. Strods Piotr był kolegą starszym o jeden rok. Spotkaliśmy się na studiach uniwersyteckich w Innsbrucku (Austria), gdzie uzyskał doktorat z filozofii. Później kontaktowaliśmy się na gruncie naukowym, m.in. on tłumaczył na język łotewski i wydał drukiem moją rozprawę o św. Augustynie. Później był profesorem uniwersytetu w Rydze i wydał nagrodzoną przez ministra rozprawę o języku łotewskim. Po drugiej wojnie światowej został arcybiskupem w Rydze, gdzie w kilka lat później zmarł.

Ks. Słoskan Bolesław był starszym o dwa lata kolegą. Odnaczał się wyjątkową pracowitością. Po zamknięciu Akademii Duch. pozostał w Petersburgu jako wikariusz a następnie proboszcz przy parafii św. Stanisława. Wtedy też został wyświęcony na biskupa. Wyjechał z Rosji do Rygi, gdzie był profesorem uniwersytetu. Podczas II wojny światowej został wywieziony w głąb Rzeszy. Obecnie przebywa jako rezydent w klasztorze w Belgii.

## 5. PORZĄDEK DNIA W SEMINARIUM

Dzień klerycki zaczynał się o godz. 5,30, kiedy alumn dyżurny chodząc po korytarzach dzwonił na wstanie. Trzeba się było szybko ubrać i spieszyć do umywalni na korytarzu, przy których czasami formowała się kolejka. Korytarze i umywalnie były nieopalone i w zimie było w nich chłodno. Tylko chorzy i klerycy rekonwalescenci mogli się myć w miednicy w pokoju mieszkalnym. Na pięć minut przed szóstą należało zebrać się w kaplicy seminaryjnej na półgodzinne rozmyślanie religijne, którym kierował ojciec duchowny (był nim w 1915/16 r. ks. Cz. Falkowski, a w 1917/18 ks. I. Świrski). Podawał on punkty do rozmyślenia, komentując pewne myśli Pisma św. lub nawiązując do przeżywanych uroczystości religijnych. W ten sposób ojciec duchowny wdrażał w metodę rozmyślenia i ułatwiał przeżywanie tajemnic religijnych oraz włączanie się w życie Kościoła. Z tych rozmyślań dużo korzystałem, a niektóre z nich mocno przeżywałem. O godzinie 6,30 rozpoczynała się msza św., odprawiana zazwyczaj przez ojca duchownego. Podczas niej śpiewaliśmy pieśni religijne, a czasem uczestniczyliśmy w ciszy bez śpiewów. Raz na tydzień wygłaszał ojciec duchowny, albo profesor zaproszony lub gość, konferencję religijną dla kleryków. Podczas mszy św. przystępowaliśmy do Komunii św.

Spowiedź odbywała się co tydzień, a zalecona była co najmniej raz na dwa tygodnie, ale zawsze była fakultatywna, niekontrolowana. Warto nadmienić, że zarówno punkty medytacji, jak konferencje religijne, a także śpiewy podczas mszy św. odbywały się po polsku, choć skład osobowy kleryków był wielonarodowościowy.

O godz. 7,15 zsiłszy na śniadanie do sali jadalnej na parterze. Składało się ono ze słodzonej czarnej, a czasem mlecznej kawy lub herbaty i z chleba białorazowego. Czasami była dodawana marmolada, a rzadko masło. W niedziele i święta było podawane słodkie ciasto. Ilościowo nie było ograniczeń i można było zaspokoić młode apetyty. Po śniadaniu obowiązywało silentium (milczenie), wypełnione przygotowaniem do wykładów, które rozpoczynały się o godz. 8 i trwały do 13.

Obiad podawano o godz. 13 i składał się z zupy oraz dania mięsnego z jarzyną. W niedziele i święta dodawano kompot lub słodkie ciasto. Chleb był rozdzielany bez ograniczeń. Pozywienie było wystarczające i głodu nie odczuwałem. W ostatnim roku wojny (1917/18) warunki materialne Seminarium stały się trudne a odżywianie więcej niż szczupłe, ale ja już byłem wtedy w Akademii Duchownej, gdzie mieliśmy warunki zupełnie znośne.

Po obiedzie o godz. 13,30 wychodziliśmy na spacer do grodu seminaryjskiego, który rozciągał się na północ, za budynkami Seminarium i za katedrą, oraz graniczył z ogrodem należącym do Kurii Metropolitalnej. Z jednej strony obramowany był parkanem koszar wojskowych Izmajłowskiego Pułku, a po drugiej stronie były wysokie domy mieszkalne. Spory ogród i odbywane tam spacerowały były prawdziwym dobrodziejstwem dla kleryków, którzy na miasto wychodzili jedynie w wyjątkowych sprawach: po konieczne zakupy, do lekarza specjalisty i do dentysty. Czas rekreacji, trwający do godz. 15, wykorzystywany był częściowo na lekturę, na naukę muzyki, śpiewu, na grupowe rozrywki. Od godz. 15 do 18,30 trwało silentium, milczenie, wypełnione studium. W pokojach mieszkalnych obowiązywało milczenie, nauka, zakaz odwiedzeń kolegów w innych pokojach, chyba że zachodziła pilna tego potrzeba. Wypada przyznać, że większych wykroczeń na tym punkcie nie było. W Seminarium panował duch pracy i nauki, regulamin był zachowywany.

O godz. 18,30 wypadała kolacja, składająca się z jakiejś gorącej potrawy, np. kaszy kraszonej słoniną, czy kawałkami mięsa, z kotletów kartoflanych lub suszonych owoców i z herbaty. Chleba było pod dostatkiem. Po kolacji miała miejsce rekreacja w salach rekreacyjnych względnie w ogrodzie. Należy zaznaczyć, że podczas obiadu i kolacji był w refektarzu ks. inspektor lub prefekt, pełniący tam dyżur, czasami ogłaszający nowe zarządzenia, czy informujący o jakichś ważnych wydarzeniach. W dniu powszednie była podczas obiadu obowiązująca lektura jakiejś książki, czy gazety. W niedziele i święta czytanie nie odbywało się.

O godz. 19,30 zsiłszy znowu do kaplicy na modlitwy wieczorne, odmawiane po łacinie, a potem następował czas milczenia i nauki trwający do godz. 21,30. Potem udawaliśmy się na spoczynek, a o godz. 22 światło było wyłączone.

Uregulowany porządek dnia, czas podzielony na pracę i naukę, spacerowały po ogrodzie, ogólna atmosfera młodzieńczego optymizmu, wystarczające odżywienie czyniły życie seminaryjne zupełnie znośnym i stwarzały warunki do dobrego samopoczucia. Stanowiliśmy spokojną wyspę wśród burzliwego oceanu wydarzeń na froncie i wewnątrz Rosji. Warunki zdrowotne były dobre, choć klimat Petersburga chłodny, wilgotny, pełen mgieł i oparów, nie był najlepszy.

W ciągu dwóch lat mego pobytu w Seminarium nie było cięższych wypadków zachorowań, ani żadnego wypadku śmierci. Tylko ja na początku mego tam pobytu, nie mając na sobie cieplejszego ubrania i bielizny, uległem silnemu zaziębieniu

i przeszedłem ciężką gripę, która rzuciła się na nerki i przez trzy tygodnie chorowałem.

Opieka lekarska była zapewniona. Dwa razy w tygodniu przychodził lekarz. Był kleryk opiekujący się kolegami chorymi, których kierował do infirmerii, zaopatrzonej w środki pierwszej potrzeby lekarskiej. Dentysty zakładowego nie było, chodziliśmy przeto na masto do jakiegoś Litwina, który nas bardzo zyczliwie traktował i prawie za darmo leczył.

## 6. NAUKA

Seminarium Duchowne w Petersburgu miało 5-letni okres studiów. Na I kurs byli przyjmowani kandydaci z ukończonymi 6 klasami szkoły średniej (dawniej brano nawet po 4 klasach). Kandydaci z pełną maturą (po 8 klasach) byli przyjmowani na II rok pod warunkiem uzupełnienia egzaminu z Pisma św. Z rekrutacją kleryków były duże trudności. Sam Petersburg nie miał zaplecza ludności katolickiej, która była rozrzucona po rozległych terenach Rosji. Tylko na obszarach, które wchodziły w skład Polski przedrozbiorowej, a więc na Wileńszczyźnie, w guberni mińskiej i witebskiej, były większe skupienia ludności katolickiej; tak samo w tzw. Letgalii, na Łotwie. Z tych też obszarów pochodziła większość kleryków. Centralna Rosja europejska, gdzie katolików znajdowało się mało i byli rozproszeni na rozległych terenach, dostarczała niewielu kandydatów do kapłaństwa. Jeszcze mniej Rosja azjatycka.

Nauka w Seminarium Duchownym obejmowała te działy teologii, które były wtedy na uczelniach tego typu w Polsce i w zachodnich krajach katolickich wykładane, a więc filozofię chrześcijańską, teologię fundamentalną (apologetykę) i dogmatyczną, teologię moralną i duszpasterską, homiletykę, Pismo św., prawo kościelne z uwzględnieniem prawa rosyjskiego, historię Kościoła, liturgikę, język polski oraz historię i literaturę rosyjską. Na pierwszych dwóch kursach uczono również języków nowożytnych, a na wszystkich latach — języka łacińskiego. Wykłady trwały codziennie przez 5 godz. od 8 do 13. Niektóre przedmioty, jak śpiew gregoriański i języki nowożytne były prowadzone po południu, co podniosło liczbę godzin nauki na pierwszych dwóch latach. Wykład trwał 45 minut, a przerwa między wykładowa — 10 minut. Wychodziliśmy wtedy do sali rekreacyjnej lub na korytarze.

Wykłady były prowadzone po łacinie lub po polsku. Teologia dogmatyczna była wykładana przez ks. Reklaitisa po łacinie, który jednak trudniejsze zagadnienia wyjaśniał po polsku. Podręcznikiem był *Synopsis theologiae dogmaticae* Tanquereya. Teologia moralna była wykładana przez ks. Świrskiego także według podręcznika Tanquereya, ale sam wykład był całkowicie prowadzony po polsku. W języku polskim wykładał nauki biblijne ks. Z. Łoziński. Wykład notowaliśmy, a podręcznikiem do introdukcji Pisma św. był Knabenbauer. Po łacinie był prowadzony wykład prawa kościelnego przez ks. Bałtruszysa, ale wyjaśnienia i wykład prawa rosyjskiego był prowadzony po polsku. Przedmioty pomocnicze jak liturgika, homiletyka, języki nowożytne, nie mówiąc już o literaturze polskiej, były nauczane po polsku. Po polsku była wykładana również filozofia przez ks. Abrantowicza.

Zajęcia naukowe były utrzymane na właściwym poziomie. Profesorowie mieli wyższe stopnie naukowe i pełne kwalifikacje wymagane w seminarjach duchownych. Klerycy przeważnie nie posiadali pełnego wykształcenia średniego i przebywali w Seminarium tylko 5 lat (w większości seminariów w Królestwie Polskim był już kurs 6-letni), ale należy uwzględnić specyficzne warunki studiów teolo-

gicznych w Rosji. Nie można do nich stosować dzisiejszych kryteriów, a więc nie było tam żadnych seminariów czy ćwiczeń naukowych, nie istniały koła naukowe, ani organizacje kleryckie. Nie mieściły się one w ustawodawstwie rosyjskim, a władze carskie pilnie baczyły, by w seminariach duchownych nie było żadnych organizacji, nawet o charakterze czysto religijnym. Stąd warto przypomnieć tu ciekawy fakt, że krzewiony w Kościele XIX w. kult Serca Jezusowego spotkał się z surowymi represjami rządu carskiego. Księża, którzy należeli do kół czcicieli Serca Jezusowego, byli pozbawiani stanowisk i zsyłani w drodze karnej na wschód.

Seminaria duchowne były pod ścisłym nadzorem carskich urzędników. Kandydaci na kleryków musieli się wykazać nie tylko posiadaniem odpowiednich świadectw szkolnych, ale i prawomyślnością wobec władz rosyjskich (błagonadiożnost'), zarówno oni sami, jak i ich rodziny, i dopiero wtedy byli indywidualnie przez gubernatora zatwierdzani. Jeszcze większe rygory stosował rząd carski w odniesieniu do profesorów seminariów duchownych. Ci musieli uzyskać zatwierdzenie na to stanowisko, choć zasadniczo misję kanoniczną otrzymywali od biskupa diecezjalnego. Szczupła liczba zgłoszeń do seminariów duchownych tłumaczy się m.in. tym, że szkół średnich było bardzo mało zarówno w Cesarstwie, jak i w Królestwie Polskim, które nazywało się wtedy „Prywislinskij kraj”.

Profesorowie Seminarium w Petersburgu mieli wyższe studia teologiczne ze stopniami naukowymi. Dwóch z nich ukończyło Gregorianum w Rzymie (Świrski i Reklaitis), jeden Uniwersytet w Innsbrucku (Falkowski) i jeden Instytut Filozoficzny w Lowanium (Abrantowicz). Wszyscy oni posiadali stopnie doktorskie, a pozostali profesorowie mieli ukończoną Akademię Duchowną w Petersburgu ze stopniem magistrów teologii. Cieszyli się też dobrą opinią u kleryków jako profesorowie. Nie wdrazali nas jednak do pracy naukowej, nie prowadzili seminariów ani ćwiczeń, nie publikowali prac naukowych. Inne były wówczas poglądy na obowiązki dydaktyczne profesorów seminarium duchownego i inne stawiano im wymagania.

## 7. ŚWIĘTA I WAKACJE

W niedziele i święta zmieniał się porządek dnia w Seminarium. Wstawaliśmy zazwyczaj o pół godziny później, a podczas dłuższych ferii świątecznych, np. Bożego Narodzenia i Wielkiejnocy, mogliśmy jeszcze dłużej odpoczywać. Wszyscy klerycy brali udział w uroczystej sumie odprawianej w katedrze. Ta łączyła się bezpośrednio z Seminarium i do katedry wchodziliśmy w komzach przez wewnętrzne drzwi, nie wychodząc na ulicę. W prezbiterium mieliśmy chór klerycki, który całkiem wypełnialiśmy, oddzieleni balustradą od środkowej nawy. Suma była uroczysto odprawiana z kazaniem w języku polskim.

Śpiewał chór klerycki, albo świecki chór katedralny. Przed sumą klerycy śpiewali w chórze Nonę (po łacinie). Zazwyczaj na tej sumie byli członkowie kapituły katedralnej w uroczystym stroju kościelnym, to jest w rokokie, mantolecie koloru czarnego, błyszczącego (jedwab czy mora) i w łańcuchu kanoniczym. W godzinach rannych odprawiane były msze św. z kazaniem po łotewsku i litewsku. Również nieszpory były uroczysto odprawiane przez celebransa kanonika z asystą, a śpiewane przez kleryków po łacinie.

Podczas świąt Bożego Narodzenia i Wielkiejnocy odbywały się uroczyste celebry, odprawiane przez biskupa sufragana J. Cieplaka, albo niekiedy przez biskupa Karasia z Sejn, którego wojna rzuciła aż do Petersburga. Celebry te były czasem

odprawiane w katedrze, a częściej w kościele św. Katarzyny (Newski Prospekt 32), odległych od Seminarium o 5 km (dojazd tramwajem).

Niedziele i święta były nie tylko dniem wypoczynku lecz także nauki, na jaką brakowało czasu w dnie powszednie. Spacerowały się wtedy tylko w obrębie Seminarium (ogród). Ferie świąteczne trwały przeciętnie koło dwóch tygodni. Kto mógł wyjeżdżał do rodziny, czy do znajomych. Klerycy „bezdumni” spędzali je najczęściej w gmachu Seminarium. Wypoczywaliśmy wtedy, bo i stołowanie było lepsze, pożywniejsze, i możliwość wycieczek łatwiejsza. W małych grupach zwiedzaliśmy wówczas miasto, jego muzea i wspaniałe cerkwie prawosławne (sobory). Czasami byliśmy zapraszani z asystą do innych parafii katolickich, gdzie nas goszczono i jeszcze obdarowywano. Kiedy indziej byliśmy na imprezach teatralnych, śpiewach, urządzanych przez jakieś polskie instytucje katolickie, np. w tzw. zakładach ks. Maleckiego, późniejszego biskupa na Rosję. Wakacje stanowiły zawsze niełatwy problem dla nas „bezdolnych”. (W języku urzędowym byliśmy „bieżency” tj. uciekinierzy i z tego tytułu czasami udzielały nam pomocy materialnej państwowe instytucje rosyjskie po 25 rubli). Rzadko się to zdarzało i na ogół byliśmy rzeczywiście biedni, bez pieniędzy. Ponieważ coraz bardziej dawały się odczuć trudności aprowizacyjne, drzewa wciąż brakowało. Dlatego Seminarium przedłużało wakacje, a częściowo także ferie świąteczne. Zamiast oddzielnych egzaminów, wprowadzono powtórkowe pytania na wykładach i koniec roku urządzano w połowie maja.

Wakacje, trwające z górą trzy miesiące, były dla mnie dużym problemem. Okazyjnie znalazłem przyjęcie aż na Podolu, w Czerniowcach (rosyjskich) pow. jam-polskiego, u ks. prob. S. Kasprzykowskiego. Była to duża parafia, licząca około 8 tys. katolików, dawnych kolonistów polskich, przemieszanych jednak z ludnością ukraińską. Kiedyś samo miasteczko i okoliczne wsie stanowiły dobra Koniecpolskich, z których jeden wystawił tam wspaniałe kościół parafialny. Okolica była sucha, zdrowa, plebania dość wygodna, a moje zajęcia sprowadzały się do pomocy w katechizacji dzieci i do głoszenia w niedziele katechizmowych pogadanek w kościele na rannej mszy św. Okolica była piękna, ludność zamożna, dwory polskie były gęsto rozsiane, środowisko polskie w miasteczku było kulturalne. Ponieważ zajęć miałem mało, mogłem dużo czasu poświęcić lekturze dzieł z nowszej polskiej literatury i z historii. Ćwiczyłem się również w lekturze klasyków łacińskich, których wybór pism z sobą przywoziłem. Czasami wyjeżdżaliśmy z ks. proboszczem na odpusty do sąsiednich parafii, a takie wyjazdy trwały dwa — trzy dni, z zatrzymywaniem się i noclegami po znajomych dworach. Tamtejszy folklor, inne warunki życia, inne sposoby duszpasterstwa, inni, bo kresowi ludzie — to wszystko było ciekawe i kształcące, a zarazem łagodzące tęsknotę za rodziną w kraju, o której nie miałem wiadomości. Wiedziałem tylko, że rodzice wrócili do wsi rodzinnej, ale szczegółów nie znałem. W Czerniowcach dowiedziałem się z prasy o sukcesach ofensywy rosyjskiej z lipca 1916 r., po której wiele sobie obiecywano. Nie wykluczano wtedy możliwości cofnięcia się wojsk austriackich aż w głąb Polski. Ofensywa jednak załamała się i sukcesy były niewspółmierne ze stratami. Rosja już wtedy była wojną zmęczona.

W końcu sierpnia wróciłem do Petersburga, bo nowy rok szkolny zaczynał się tam 1 września. Rozpoczynając IV kurs Seminarium Duchownego, czułem się bardziej wypoczęty, zdrowszy.

Ferie świąteczne Bożego Narodzenia 1916 r. spędziłem w Narwie, w Estonii, odległej od stolicy 3 godziny koleją. Tamtejszy proboszcz, ks. Sienkiewicz, Litwin, zaprosił dwóch kleryków (oprócz mnie jednego Litwina z Kowieńszczyzny) i dwóch

księży z Akademii Duchownej, obu Polaków. W związku z tym, należy podkreślić wyjątkową gościnność księży kresowych w stosunku do kleryków. Każda plebania była jednocześnie domem gościnnym dla kleryków danej parafii, a także tych, co się zgłosili. Narwa, położona blisko morza, stara twierdza szwedzka, była przed wojną małą parafią, ale podczas wojny nabrzmiała uciekinierami, potroiła swą ludność katolicką. Na plebanii, a także w domach tamtejszych Polaków, byliśmy chętnie widziani i goszczeni. Mnie zlecił ks. proboszcz udział w śpiewach w kościele podczas nabożeństw polskich i litewskich; nie znając języka litewskiego, śpiewałem pierwsze strofki litanii i suplikacji po litewsku, a za mną je lud powtarzał, bo taki tam był zwyczaj. Front był stamtąd bliżej (koło Rygi), dlatego plotek politycznych i wojennych więcej. Wyczuwało się, że sytuacja w kraju i na froncie była gorąca, bliska wybuchu.

Po powrocie do Seminarium mieliśmy wkrótce sensację niezwykłą — zamordowanie Rasputina, faworyta dworu cesarskiego, a wkrótce potem rewolucję rosyjską, abdykację cara Mikołaja II i nową sytuację polityczną. W życiu wewnętrznym Seminarium nie odczuliśmy na razie zmian, poza tym, że pogorszyła się sytuacja aprowizacyjna, bo drożyzna podskoczyła. Na wakacje w maju wyjechałem na Podole, do Czarnego Ostrowia w pow. Płoskirów, w nadziei, że tam nadejdą wojska austriackie i wrócę do kraju. Czarny Ostrów był miasteczkiem żydowsko-polskim (80 km od dawnej granicy). Parafia obsługiwana była przez dwóch księży, liczyła około 7.000 katolików. Było tam dużo szlachty polskiej, schłopiałej i sporo tzw. mazurów, prawdopodobnie potomków dawnych osadników polskich, pochodzących z Mazowsza. Zresztą ludność na wsi mówiła w większości po ukraińsku, a raczej z ukraińskiego po polsku. Sporo było dworów polskich, gdzie oficjaliści byli Polakami.

W Czarnym Ostrowie atmosfera była gorąca, a składały się na nią bliskość frontu, rozbudzone aspiracje narodowe Ukraińców, próby organizowania się żywiołu polskiego, jakieś rewolucyjne podniecenie ludności, rozluźnienie dyscypliny wojskowej na froncie i najpierw sporadyczne, a później większe grupy żołnierzy uciekających do domu i zagrażających bezpieczeństwu. W tych warunkach stałem się nieoczekiwanie nauczycielem. Zaczęto wtedy (w maju) tworzyć szkoły polskie, a brakło sił nauczycielskich. Na gwałt założono szkółkę w domu kościelnym, do której uczęszczało około 50 dzieci polskich w wieku od 9 do 14 lat.

Do jej prowadzenia zaangażowano mnie, a nauczycielka miała objąć zajęcia nieco później. Uczyłem sam przez czerwiec i sierpień po trzy godziny dziennie. Uczyłem religii, języka polskiego i historii Polski, co formalnie nazywało się nauką religii i przygotowaniem do spowiedzi. Dzieci były dobre, chętne do nauki i do mnie bardzo przywiązane. Kiedy na początku września opuszczałem je, aby się udać do Petersburga, wówczas rozgrywały się dramatyczne pożegnania. Mnie te dwa miesiące nauki mocno zmęczyły. Nie otrzymałem za nie specjalnego wynagrodzenia — traktowano to raczej jako naukę katechizmu w zamian za mieszkanie i stołowanie. Przez te wakacje posunąłem się znacznie w nauce języka francuskiego, którego mi udzielała rodowita Francuska, zona tamtejszego aptekarza, starsza, inteligentna i uspołeczniiona pani.

Wakacje w Czarnym Ostrowie uważam za korzystne. Mimo pracy, której miałem sporo, czułem się zdrowo, ludzie byli zyczliwi, księża budowali mnie swą kapłańską postawą (starszy z nich, ks. Rogowski, wrócił do Polski i był później proboszczem w archidiec. lwowskiej, a młodszy, ks. Kowalski, został w listopadzie 1917 r. zamordowany przez grasujące tam bandy maruderów), warunki narodowościowe i kościelne ciekawe, okolica piękna. Chętnie jednak wracałem do Peters-

burga na początku września 1917 r., tym razem już jako student Akademii Duchownej (Wasiliewskij Ostrow, I linia 52).

## 8. WAŻNIEJSZE WYDARZENIA

W tych burzliwych, niebezpiecznych latach, Seminarium Duchowne mogło się wydawać spokojną oazą na pustyni, ogarniętej burzą. Pod pewnym względem tak było. Ale „nikt nie jest samotną wyspą” i nie uniknie losu, jaki go czeka. W spokojne mury wdzierały się odgłosy burzy dziejowej, docierało echo tylu wydarzeń, które wytyczyły drogi nowej przyszłości. W tym kontekście dziejowym osobiste sprawy nabierały innych wymiarów i znaczenia.

Mnie nurtował ciągle niepokój o losy rodziców, pozostałych w kraju, i brata tułającego się w służbie pozafrontowej. Wiadomość o ich powrocie do wsi rodzinnej przyniosła pewne uspokojenie, ale od ukrytego, wciąż powracającego niepokojem, nie uwolniłem się nigdy przez całe trzy lata. Sprawę brata, Antosia, udało się w grudniu 1915 r. pomyślnie załatwić dzięki pomocy naszego znajomego, Jana Sienieńskiego-Waszki, który uzyskał dla niego miejsce w Gimnazjum Polskim Macierzy Szkolnej w Petersburgu (Litiejnyj Pereułok 16) i w Bursie Męskiej (Konogwardiejskij Bulwar 9). Odetchnąłem, gdy znalazł się w Petersburgu. Przychodził do mnie co niedziela, a czasem częściej. Razem czuliśmy się dobrze, zwłaszcza że mieliśmy podobne usposobienia, zgodność poglądów, a brat był wyjątkowo dobrym, ofiarnym człowiekiem, najbliższym mi z całej rodziny. W Petersburgu zdobył maturę gimnazjalną, razem wróciliśmy do Polski, do rodziców w lipcu 1918 r. Później wstąpił na nowo założony Uniwersytet Katolicki w Lublinie, ukończył go w r. 1922, we Lwowie uzyskał doktorat prawa, był początkowo sędzią, a następnie zast. profesora procedury cywilnej w KUL, a jednocześnie adwokatem. Zmarł na zawał serca w 1952 r. i pochowany został w grobowcu rodzinnym w Rzecznowie. Jego śmierć była dla mnie tragedią osobistą, którą wciąż przeżywam.

Pierwszy rok pobytu w Petersburgu był dla mnie ciężki, bo poważnie chorowałem i z trudem adaptowałem się do nowych warunków życiowych. Czuję się jakiś przybity, wyrwany z gruntu ojcystego. Ale życie ma swoje prawa. Pochłaniała mnie nauka, lektura, przeżywanie nowych wrażeń, treści myślowych i one łagodziły me wyobcowanie. Miałem zawsze skłonności do abstrakcyjnego myślenia, do fantazjowania i te przesłaniały mi nieciekawą rzeczywistość empiryczną. Z perspektywy czasu dziwię się sobie, że przechodziłem do porządku dziennego nad niedostatkiem, nad tylu potrzebami i jakoś godziłem się z nimi.

Pewną pożywką, przesłaniającą szarżyznę życia, było zwiedzanie miasta, jego muzeów, jego wspaniałych soborów (cerkwi), jego niektórych ciekawszych dzielnic. Rozrywek nie mieliśmy. Nigdy nie byłem przez ten czas w kinie, nie uczęszczaliśmy do teatrów czy opery, nie grywałem w karty nawet podczas wakacji. Bardzo dużo czytałem. Wchłanialiśmy też wszelkie wiadomości polityczne, różne plotki o życiu rosyjskim, wyższych jego sfer. Cenzura była wówczas łagodna, swoboda prasy duża, ale dezorientacja jeszcze większa. Nasze nadzieje, przewidywania, obliczania były najczęściej złudne. Umysłowość ówczesna, przed 50 laty, była niewątpliwie mniej krytyczna, mniej wyrobiona, bardziej naiwna, stała na jakimś niższym poziomie rozwojowym.

Przeżywałem w sobie pogłębienie świadomości krytycznej, jakieś coraz to inne spojrzenia na świat i jakby narastanie własnej osobowości. Nie wyzbyłem się jednak przerostu wyobraźni i abstrakcjonizmu w spojrzeniu na świat i życie. Wciąż byłem marzycielem i trochę fantasta, dlatego też łatwiej znosiłem warunki tam-



tejsze. Wyjazdy na ferie świąteczne, na wakacje, znaczyły jakieś etapy kształcące moją osobowość, choć procesy rozwojowe dokonywały się raczej podświadomie. Liczne kontakty z nowymi ludźmi były coraz to nowymi impulsami do ich poznania, do jakiegoś pełniejszego spojrzenia na świat. Ludzie zawsze mnie interesowali, mniej rzeczy, choć one miały doniosłe znaczenie dla mojej egzystencji życiowej. Miałem bliższych kolegów, ale dobrze współżyłem ze wszystkimi i wydaje mi się, że mój zmysł społeczny doznał rozszerzenia. Nigdy jednak nie zagubiłem w życiu społecznym swego ja, ani nie czułem w sobie szczególniejszych skłonności do działalności społecznej, nie pociągało mnie życie społeczne, nie chciałem się z nim wiązać, ani nie czułem się powołany do prowadzenia grup społecznych. Dopiero z czasem uświadomiłem sobie, że jestem bardziej indywidualistą niż społecznikiem.

W drugim roku mojego pobytu w Seminarium władze diecezjalne otrzymały specjalne uprawnienia w stosunku do kleryków innych diecezji i dopuszczono mnie do niższych święceń, których jeszcze nie miałem z powodu wydarzeń wojennych. Tonsury i mniejszych święceń udzielił mi w styczniu 1917 r. biskup Jan Cieplak, ówczesny sufragan i wikariusz kapitulny archidiec. mohylowskiej, w tamtejszej katedrze.

W lutym 1917 roku wybuchła pierwsza rewolucja, która skończyła się szybko abdykacją cara Mikołaja II i objęciem rządów przez Kiereńskiego. Rewolucję przeżywaliśmy „namacalnie”, bo gmach Seminarium sąsiadował z koszarami Izmajłowskiego Pułku gwardii. Odbywaliśmy poobiedni spacer po ogrodzie, kiedy tuż obok wybuchła strzelanina, słychać było świszczące kule karabinowe i niektórzy koledzy, znajdujący się bliżej koszar padli na ziemię, a następnie chyłkiem wzdłuż murów chronili się do wnętrza Seminarium. Okazało się, że żołnierze strzelali do policji, rozstawionej na ulicy. Był to prolog do wielkich wydarzeń polityczno-społecznych, których zasięgu i doniosłości nikt wtedy nie przeczuwał.

Walki wybuchły w całym mieście, ale ani swym zasięgiem, ani zawziętością, ani liczbą krwawych ofiar nie wyszły poza przeciętność. Mówiono nawet o łagodnej, bezkrwawej rewolucji. Przez cały czas wydarzeń rewolucyjnych, to jest przez trzy dni, byliśmy w Seminarium mocno podnieceni, czekaliśmy gorączkowo na wiadomości z ulicy, które przynosili eks-klerycy wojskowi, to znów znajomi z miasta, trochę profesorowie. Wykłady były normalnie prowadzone przy odgłosie strzelaniny z miasta. Abdykację Mikołaja II przyjęto na ogół z radością, dawny despotyczny رژیم carski ciążył na wszystkich. Cieszyli się szczególnie Polacy, którzy z tym łączyli wielkie nadzieje na powstanie niepodległej Polski, a my — na powrót do kraju. Po paru dniach życie wróciło do normy, tylko drożyzna mocno się podniosła. Na ulicach czuło się powiew wolności, jakieś inne życie, rozpoczęły się niekończące wiece, prasa była swobodniejsza w wypowiedziach, zaczęły powstawać różne organizacje narodowe, odpadły dawne skrępowania polityczne. Cenzura dotyczyła tylko spraw wojskowych. Wojna toczyła się dalej, ale od razu ukonstytuował się „Sowiet raboczych i krestianskich dieputatów” (Rada delegatów robotniczych i chłopskich), o szerokich kompetencjach, będący czymś w rodzaju drugiej „Dumy”, a zarazem organem kontrolnym ówczesnego rządu, któremu władza stopniowo wymykała się z rąk.

Polacy zaczęli się organizować, zarówno wojskowi, jak i cywilni. Rozbudowało się szkolnictwo polskie, zaczęto tworzyć szkoły polskie na prowincji, gdzie były większe nasze ośrodki. Przystano stosować przepisy, kępujące działalność Kościoła Katolickiego, pozostawiając mu dużo swobody w życiu wewnętrznym. Zwolniono wówczas biskupa E. Roppa, dawnego ordynariusza wileńskiego, a następnie rząd rosyjski wyraził zgodę na objęcie przezeń arcybiskupstwa mohylow-

skiego, które od r. 1913 było nieobsadzone. Wypuszczono również arcybiskupa A. Szeptyckiego ze Lwowa (obrz. greckiego), który był internowany w głębi Rosji od 1914 r. W drodze powrotnej do Austrii (w kwietniu 1917 r.) zatrzymał się on w Petersburgu i w Seminarium Duchownym miał do nas kleryków konferencję w języku polskim, czasami wplatając zwrot ukraiński, np. „kaze apostoł”. Był wtedy w sile wieku, miał nieco więcej niż 50 lat. Zwolniono również internowanych jezuitów (np. o. Jana Rostworowskiego, który w Petersburgu przyjął do zakonu mego kolegę Antoniego Dąbrowskiego i uzyskał pozwolenie na wyjazd do kraju przez Finlandię i Szwecję). Na obchodach narodowych polskich, a nawet w kościołach petersburskich śpiewano „Boże coś Polskę”, za co dawniej groziło więzienie. Ale też dochodziły do nas wieści, że dyscyplina wojskowa uległa znacznemu rozluźnieniu i wyrażano obawy, czy front utrzyma swą zdolność bojową.

Ten rok szkolny wprowadził w moje studia zasadniczą zmianę. Ks. rektor Seminarium zakomunikował mi, że postanowiono zwolnić mnie od uczęszczania na wykłady ostatniego (V kursu) i wcześniej skierować na studia do Akademii Duchownej, pod warunkiem, bym sam prywatnie przerobił materiał z tego roku i zdał egzamin ze wszystkich przedmiotów, jakie mi do przesłuchania pozostały. Musiałem w ciągu miesiąca, nie opuszczając zwykłych wykładów, przygotować się do egzaminów z całego V kursu. Z uskrzydłym nadzieją zapałem zabrałem się do pracy. Pamięć miałem chłonną i wierną, łatwość do nauki dużą, wytrzymałość fizyczną, mimo skromnych warunków utrzymania i dużego wysiłku, wykazałem nieprzeciętną, pozwalającą na 12-to godzinną pracę umysłową i w rezultacie w połowie maja miałem złożone wszystkie egzaminy dodatkowe z wynikami zawyczaj bardzo dobrymi. Drogę do Akademii miałem otwartą.

W drugiej połowie maja rozpoczęły się ferie wakacyjne, które chciałem spędzić gdzieś bliżej frontu, w nadziei, że wojna prędko się skończy, albo w inny sposób droga na zachód zostanie otwarta. Dostałem się do Czarnego Ostrowa, w gub. podolskiej, gdzie pracowałem jako nauczyciel szkoły powszechnej. Jadąc tam zauważyłem, że na wielu stacjach były znaczne grupy ciągle wycieczających żołnierzy, że sporo ich wracało do domu, a w kraju wyczuwało się jakieś rozprężenie. W lipcu wojska rosyjskie podjęły na froncie galicyjskim ofensywę, która początkowo dała pewne wyniki, ale prędko załamała się i skończyła cofnięciem Rosjan poza punkt wyjściowy. Były również próby zamachu stanu ze strony gen. Kornilowa, ale te do niczego nie doprowadziły, a raczej przyczyniły się do umocnienia elementów rewolucyjnych i osłabienia odporności bojowej wojska.

Kiedy wracałem z wakacji do Petersburga na początku września, z trudem już dojechałem do stolicy, wielokrotnie kontrolowany przez władze wojskowe. Byłem świadkiem, jak zatrzymywano w pociągu wielu wojskowych jako podejrzanych. W Petersburgu dostałem się bez trudu do nowej uczelni, gdzie miałem studiować, do Rzymsko-kat. Akademii Duchownej (Impieratorskaja Rimsko-Katolickieskaja Duchownaja Akademia). Mieściła się ona na wyspie Wasiliewskiej Ostrow, I linia 52, po północnej stronie Newy, odgrodzona z drugiej strony dopływem tej rzeki i kanałami, których w mieście było dużo.

Akademia była najstarszą uczelnią katolicką w Petersburgu, istniejącą od 1842 r. (w obecnym budynku od 1844). Właściwie przeniesiono tu, na rozkaz cara Mikołaja I, Akademię Duchowną z Wilna, a później dołączono do niej Akademię Duchowną z Warszawy, zniszoną tamże w 1867 r. Zajmowała ona budynek jednopiętrowy, a tylko w środku miała elewację szerokości kilkunastu metrów, będącą II piętrem, z salkami-mansardami, przedzielonymi na dwie sypialnie koszarowe

i na pokoje. Na parterze były sale do uczenia się, mieszkania rektora i profesorów oraz kuchnia, na piętrach zaś aula, piękna kaplica, mieszkania dla studentów i sale wykładowe. Budynek miał kształt litery „H” (ros. N) na cześć cara Mikołaja. W środku był niewielki ogród spacerowy dla księży studentów. Rozplanowanie przestrzenne budynku niepraktyczne, według wzorów budownictwa z pierwszej połowy XIX w. W r. 1917 w gmachu Akademii, która stanowiła zamkniętą jednostkę gospodarczą, mieszkało 10 profesorów i ok. 45 studentów. Studentami byli zazwyczaj księża, którzy ukończyli seminarium duchowne i zostali skierowani na studia specjalne. Pochodzili ze wszystkich diecezji Polski i Rosji. W czasie wojny ustał dopływ księży studentów z Królestwa Polskiego.

Studia trwały 4 lata. Po dwóch latach student otrzymywał tytuł „rzeczywistego studenta” (diejstwitielnyj student), po trzech latach i publicznym egzaminie — stopień kandydata św. teologii, a po czterech magistra św. teologii. Przedtem jednak musiał on napisać i publicznie obronić rozprawę magisterską (redagowaną zazwyczaj po łacinie) oraz złożyć publiczny egzamin przed komisją składającą się ze wszystkich profesorów. Egzaminy magisterskie odbywały się w auli w obecności zaproszonych gości. Doktorat w Akademii był udzielany bardzo rzadko, zazwyczaj po kilku latach profesury w tejże szkole i wymagał zatwierdzenia ministra. W tym czasie nikt z tut. profesorów, poza biskupem Cieplakiem, nie miał stopnia doktora Akademii Petersburskiej.

Poziom naukowy Akademii, po reformie przeprowadzonej przez ówczesnego rektora ks. Idziego Radziszewskiego, późniejszego założyciela i pierwszego rektora Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, odpowiadał wymaganiom stawianym wówczas wyższym uczelniom. Wykłady były prowadzone przez dobre siły profesorskie, brakowało tylko seminariów naukowych, ale w owych czasach inna była organizacja studiów uniwersyteckich niż dzisiaj.

Rok pobytu w Akademii dał mi dużo. Pogłębiłem swe wiadomości filozoficzno-teologiczne, przyswoiłem sobie nieco z języka greckiego i hebrajskiego, co mi się w dalszych studiach (Innsbruck) bardzo przydało, poznałem nowych ludzi i nowy styl pracy naukowej, a pod względem warunków materialnych znalazłem się w sytuacji umożliwiającej mi łatwiejsze przetrwanie ostatniego roku pobytu w Petersburgu.

Ale o tych sprawach, należących już chronologicznie do r. 1918, nie piszę. Ograniczam się jedynie do wspomnień o Rewolucji Październikowej 1917 r., która władzę państwową oddała w ręce komunistów rosyjskich, przez nich samych zwanych wtedy bolszewikami. Główne wydarzenia rozgrywały się w odległości 3 km od naszej Akademii, dokoła „Pałacu Zimowego”, położonego po drugiej stronie Newy. Przez całą noc dochodziły do nas odgłosy strzelaniny karabinów ręcznych i maszynowych, a także huk armat. Nie spaliśmy wtedy, czekając jaki będzie wynik zmagania wojskowych. Nad ranem dowiedzieliśmy się o zwycięstwie zwolenników „Smolnego Instytutu” (tak wówczas nazywano zwolenników zwycięskiej partii) i o nowym rządzie, który coraz bardziej się umacniał, choć zamieszki trwały jeszcze przez parę dni. Rzecz ciekawa, że nie przewidywano wówczas utrwalenia się nowej władzy, a jeszcze mniej tego, że po 50 latach Rosja pod nowym kierownictwem stanie się supermocarstwem (obok Stanów Zjednoczonych A.P.) na całym świecie, potęgą, jaką nigdy nie była za czasów carskich.

Zmiany polityczne w Rosji przyjęliśmy wtedy z zadowoleniem, spodziewając się rychłego pokoju i powrotu do Polski.

## 9. SYLWETKI PROFESORÓW

Kiedy z perspektywy półwiecza wspominam swych profesorów Seminarium Duchownego w Petersburgu, czynię to z uczuciem wdzięczności i szczerego dla nich szacunku. Ani wówczas nie słyszałem nic ujemnego, co by rzuciło cień na ich postawę kapłańską, ani nie dostrzegłem niczego, co by ich w moich oczach obniżało. Cieszyli się autorytetem należnym jako profesorowie, a ich postawa kapłańska budziła respekt. Zapewne, że spojrzenie młodego kleryka jest nieco powierzchowne, jednostronne, mało krytyczne, ale taki wytworzony wówczas obraz wywierał dodatni wpływ wychowawczy.

Ks. Ignacy Bałtruszys był rektorem Seminarium od 1911 r., po przejściu swego poprzednika, ks. A. Łosińskiego, na stolicę biskupią w Kielcach, i prałatem kapituły metropolitalnej. Był Litwinem, pochodzącym z Kowieńszczyzny. Ukończył Seminarium i Akademię Duchowną w Petersburgu ze stopniem magistra, a w Rzymie uzyskał doktorat z prawa kanonicznego. Przez parę lat był profesorem teologii moralnej w Akademii i wtedy wydał w jęz. polskim *Teologię moralną fundamentalną*, Petersburg 1904, str. ok. 200. Praca miała dedykację, wiernie oddającą jego stosunek do kleryków: „Dzieło to poświęcam uczniom moim, miłość względem których dodawała mi bodźca do pracy, a zycżliwość, w wielu wypadkach obecnie mi okazywana przez nich, jest prawdziwą pociechą”. W Seminarium był profesorem prawa kościelnego, którego wykłady obowiązywały przez ostatnie dwa lata. Używał podręcznika Aichnera, wykłady prowadził po łacinie, a tylko trudniejsze zagadnienia oraz partie z kościelnego prawa rosyjskiego wykladał po polsku. Wykład był suchy, ale rzeczowy, jasny i bardzo instruktywny, wypowiedziany słabym głosem. Był wówczas człowiekiem w sile wieku, bo liczył 51 lat życia, ale wyglądał starzej. Często zapadał na zdrowiu, był chory na raka gardła i ta choroba w parę lat później położyła kres jego życiu. Ks. Bałtruszys był wzrostu średniego, o ciemnej, prawie oliwkowej, pomarszczonej cerze, nosił ciemne, nisko zaczesane „na jeża” włosy, oczy miał małe, czarne, bystre — i wydawało się — surowe. Rzadko się uśmiechał, ale nie pamiętam, by się kiedyś głośno śmiał. Był zawsze poprawnie ubrany, nosił się prosto, trochę sztywno. Mówił mało. Na wykładach i w rozmowie prywatnej używał krótkich, lakonicznych zdań. Posiłkował się polszczyzną właściwą Polakom, którzy przebywali od lat w Rosji — zamiast zmięczonych spółgłosek, sylab „dź, si, ś, é, dzi, ci” wymawiał twardo „dz, s, c” itp., wskutek czego mowa nabierała jakby innego brzmienia. Rzecz dziwna, ten na zewnątrz chłodny, zawsze poważny, rzadko uśmiechnięty, zamknięty w sobie, o surowym wyrazie twarzy kapłan, był podobno uroczym człowiekiem w życiu prywatnym, ośrodkiem życia towarzyskiego swych kolegów, którzy się do niego garnęli. Często urządzał przyjęcia koleżeńskie u siebie. Wiem z doświadczenia, że w stosunku do kleryków był człowiekiem dobrym, zycżliwym, uczynnym. Nazywano go „człowiekiem sprawiedliwym”. Pod nawierzchnią surowości i chłodu kryło się dobre, kochające serce, które się od razu wyczuwało przy załatwianiu spraw codziennych, nieraz ważnych i trudnych. Był wrażliwy na cudzą niedolę, ale też łatwo wyczuwał nutę kłamstwa, jeżeli ją dostrzegał u kleryka. Poza wykładami rzadko był ks. rektor przez kleryków widywany, a gdy przychodziliśmy do niego, by załatwić te czy inne sprawy, przyjmował nas na stojąco i dłużej nie zatrzymywał, co nie zachęcało do wynurzeń i zdawało się wykluczać jakieś serdeczniejsze akcenty. Był powszechnie szanowany przez nas i podziwiany; był zawsze ostatnią instancją w sprawach nieraz trudnych, osobistych, kłopotliwych. Był daleki, a przecież jakiś bliski, bardzo ludzki. Podobno miał u siebie całą kolekcję cennych zega-

rów, które przedstawiały dużą wartość. Ostatnie dwa lata miał ciężkie. Gdy Seminarium zostało zamknięte, ks. rektor zamieszkiwał przy jakimś kościele, na plebanii. Brakowało opału i pozywienia a także opieki lekarskiej; ks. rektor zachorował ciężko na raka i zmarł w 1919 r., w 55 roku życia.

Ks. Franciszek Ostrowski był inspektorem czyli wicerektorem Seminarium. Pochodził z rodziny polskiej, z parafii Dąbrowa (w Białostockiem), skąd wyszło dużo księży. Ukończył Seminarium i Akademię Duchowną w Petersburgu i wkrótce podjął pracę w samym Seminarium. Był kanonikiem kapituły katedralnej i oficjałem Sądu Biskupiego. Gdy go poznałem, liczył 51 lat (ur. 1864). Ks. Ostrowski był wzrostu średniego, twarz miał pełną, różową o odcieniu fioletowym, oczy czarne, niewielkie, bystre, czoło wysokie, uwydatnione siwymi, do góry czesanymi (na jeza), obfitymi włosami, dość otyły. Był człowiekiem ruchliwym, energicznym, bardzo dynamicznym. Wychowanie kleryków i całe wewnętrzne życie seminaryjne na nim się opierało, zwłaszcza że rektor był człowiekiem chorowitym, odosobnionym i mało się udzielającym. Ks. inspektor dwoił się i troił, by podolać swym licznym obowiązkom. Często wizytował kleryków w ich mieszkaniach i nieraz było słyhać na korytarzach jego głośny, rozkazodawczy albo monitujący głos. Z wyglądu i zachowania zewnętrznego wydawał się groźny, jowiszowy, ale w gruncie rzeczy był człowiekiem dobrym, życzliwym dla kleryków, choć nieraz ich karcił tak głośno, że słyhać było po korytarzach i wszyscy wiedzieli o co chodziło. Uosabiał typ praktyczny, aktywny, a Seminarium dawało mu duże pole do ujawnienia tych talentów. Inni wychowawcy, jak rektor, prefekt, byli jakby w cieniu, choć ks. inspektor nie wkraczał w cudze kompetencje. Miał prawdziwy talent wychowawczy, dużo dawał serca, starał się innym pomóc, interesował się sprawami osobistymi, ale nie po to, by innym szkodzić, lecz pomagać. Prowadził wykłady z historii Kościoła w oparciu o podręcznik ks. W. Krynickiego, jaki był wówczas w użyciu w seminariach polskich. Wykładał przeciętnie, nie umiał rozbudzić zamięłowania do swego przedmiotu, ani nie wdrożył do pracy naukowej, ale często pytając na wykładach kleryków, zmuszał ich do uczenia się. A że wykłady lubił ilustrować różnymi mapami historycznymi i znajomości mapy wymagał, klerycy nazywali go „mapką”. Choć same wykłady nie były oryginalne, inwencyjne, to jednak były instruktywne i wychowawczo pożyteczne: uczyły miłości Kościoła i szacunku dla jego przeszłości. Dla mnie był szczególnie życzliwy i odnosił się z dużą delikatnością. Radził mi nawet zostać w Petersburgu po studiach, aby duszpasterzować wśród inteligencji polskiej, gdzie odczuwano brak księży, mówiących dobrą polszczyzną. Gdy Seminarium Duchowne zostało zamknięte, pracował jakiś czas przy parafii w stolicy. Kiedy zaś dalszy tam pobyt był dla niego coraz trudniejszy i nie miał widoków na zdobycie pracy, wrócił do kraju, do swej rodzinnej parafii. Tam nabawił się tyfusu, który wówczas nagminnie grasował, i zmarł w 1919, w 55 roku swego życia.

Ks. Zygmunt Łoziński magister teologii i kanonik katedralny, był profesorem Pisma św. i archeologii biblijnej. Szczupły, średniego wzrostu, wówczas koło pięćdziesiątki, nieco siwawy, o twarzy pociągłej. Pochodził z Mińszczyzny, z rodziny obywatelskiej i miał tam liczne powiązania rodzinne oraz społeczne. W pierwszym roku wojny odbył podróż do Ziemi Świętej i po powrocie przez długi czas nosił brodę nieogoloną, przez co przypominał wschodnich duchownych. Wśród kleryków cieszył się dużym autorytetem jako ksiądz i jako uczonego bibliista. Słuchałem jego wykładów introdukcji do Pisma św. (według łacińskiego podręcznika Knabenbauera) i egzegezy. Mówił głosem o wysokim tonie, wykładał ciekawie

i często wtrącał ascetyczne uwagi, gdy komentował księgi święte. Budził szacunek swą osobowością. Swój przedmiot dobrze opanował, był raczej ascetą niż naukowcem. Pociągała go praca duszpasterska i na tym polu dużo zdziałał. Jako proboszcz (oficjalnie kapelan) kościoła pomaltańskiego prowadził duszpasterstwo wśród inteligencji rosyjskiej i mógł się poszczycić pewną liczbą konwersji z prawosławia. W kościele były wygłaszane kazania także po rosyjsku. Po rewolucji rosyjskiej sfery kościelne podjęły starania o restytuowanie diecezji mińskiej, zniesionej przez cara w 1867 r. Został mianowany biskupem tej diecezji w 1918 r., ale niedługo mógł w stolicy diecezji pozostawać. Po traktacie ryskim z Rosją (1921) i utworzeniu, już w ramach Rzeczypospolitej Polskiej, diecezji pińskiej, która objęła połowę dotychczasowej mińskiej, ks. Łoziński został pierwszym jej ordynariuszem. Zorganizował ją od podstaw, tworząc Kurię Biskupią, Seminarium Duchowne, dzieląc dawne parafie na kilka jednostek samodzielnych, umożliwiając zakonem katolickim objęcie dawnych klasztorów i pracując niezwykle gorliwie nad podniesieniem życia religijnego. Miał opinię świętobliwego biskupa, pełnego poświęceń, umartwionego, niezwykle ofiarnego dla biednych. Wydał drukiem *Rozważania majowe dla duchowieństwa*. Zmarł w 1932 r. Obecnie toczy się jego proces beatyfikacyjny.

Ks. Ludwik Borkowski uczył nas łaciny. Był najstarszy wiekiem z profesorów (ur. 1873), a na stanowisku profesora był od 1899 r. Młodo jednak wyglądał, a jego delikatność, jakiś urzekający uśmiech, cały sposób obejścia się robił dobre wrażenie. Pochodził z diecezji kieleckiej, ale przeniósł się do archidiec. mohylowskiej, podobno żeby się nie rozstawać z biskupem Cieplakiem, również pochodzącym z Kieleckiego, który był profesorem Akademii Duchownej, kiedy on odbywał studia. W Petersburgu był ks. Borkowski (sam magister teologii) kanonikiem katedralnym. Pracował ponadto w Kurii Metropolitalnej, a w Seminarium Duchownym uczył łaciny, którą doskonale znał. Czytaliśmy z nim wspólnie Owidiusza i Vergilego, trochę Cycerona. Miał predylekcję do łacińskiej metryki i lubił przebrać poezję. Umiał do swego przedmiotu rozbudzić zainteresowanie, a nawet zamiłowanie, którego się sam nabawiłem. Podczas pierwszych wakacji w Rosji, gdy byłem w Czerniowcach, codzinnie czytałem poezję łacińską z ksiązek, jakie udało mi się wypożyczyć. Z ks. Borkowskim nie kontaktowałem się bliżej. Słyszałem, że wrócił do kraju i w Warszawie był dyrektorem Biura Episkopatu, współpracując również z arcybiskupem E. Roppem. Zmarł przed wojną w Kielcach.

Ks. Fabian Abrantowicz (ur. 1884) był prefektem Seminarium i profesorem filozofii. Pochodził z Mińszczyzny, seminarium ukończył w Petersburgu, w tamtejszej Akademii Duchownej uzyskał stopień magistra teologii, a następnie wysłany do Lowanum, na Instytut Filozoficzny, wrócił z tytułem doktora filozofii i objął wykłady filozofii i socjologii a zarazem obowiązki prefekta zakładu. Był więcej niż średniego wzrostu, dobrze zbudowany, barczysty, miał dużą głowę i szeroką o regularnych rysach twarz. Włosy ciemne, oczy szare czy niebieskie, przesłonięte binoklami, osadzonymi na regularnie zbudowanym, delikatnym nosie. Mówił melodyjnym, miłym, ale słabym głosem. Władzał poprawną polszczyzną, choć pochodził z rodziny białoruskiej. Szczególnie opiekował się klerykami Białorusinami i chyba czuł się Białorusinem. Wykazywał dużo zainteresowania dla obrządku wschodniego. Zresztą nie tylko on. Zauważyłem, że klerycy i księża, pochodzący z okolic białoruskich, odznaczali się predylekcją do obrz. wschodniego, jak gdyby tu wchodziły w grę momenty narodowościowe, czy historyczne; była to jakaś podświadomość zbiorowa. Ks. Abrantowicz opierał się w wykładach filozofii na przestarzałym podręczniku Reinstadlera. Wykładał przeciętnie, od słu-

chaczy wiele nie wymagał, trudnych kwestii unikał, ograniczając się do szablonowego przerobienia materiału. Robiliśmy na własną rękę notatki, by się przygotować do odpowiedzi na wykładach, które tak mało dawały. Zdaje się, że był on nastawiony na praktyczne duszpasterstwo i na pracę społeczno-narodową. Często był nieobecny w Seminarium. Mówiono, że był czynnym w duszpasterstwie w Rosji. Był człowiekiem kulturalnym, i dobrze obchodził się z klerykami. Czasem odbywał dyżury w refektarzu, rzadko wizytował mieszkania kleryckie. Dość często przychodził do sali rekreacyjnej na rozmowy prywatne; wśród kleryków czuł się dobrze. Jakie były jego losy po r. 1918, nie wiem. Nic o nim nie słyszałem. Niespodzianie spotkałem się z ks. Abrantowiczem w kilkanaście lat później na jakimś zebraniu misyjnym w Warszawie. Z trudem go poznałem, tak bardzo się zewnętrznie zmienił — utył, zapuścił brodę, rysy twarzy stały się wyjątkowo grube, należał wówczas do kapłanów obrz. wschodniego. Na krótko przed drugą wojną światową został wyświęcony na biskupa unickiego dla Dalekiego Wschodu. Celem objęcia placówki w Charbinie (Mandzuria) wyjechał koleją i w drodze zaginął. Inna wersja głosi, że wrócił do Polski w czasie drugiej wojny światowej i został zamordowany przez Niemców.

Ks. Czesław Falkowski pochodził z Łomżyńskiego, diec. sejneńskiej, ale wstąpił do Seminarium Petersburskiego, które ukończył. Na kapłana został wyświęcony w r. 1910 i wysłany na Wydział Teologiczny w Innsbrucku, który ukończył w 1913 r. ze stopniem doktora teologii. Był najmłodszym profesorem Seminarium, bo miał dopiero 28 lat. Dość słusznego wzrostu, prawie wysoki, jasny blondyn, o niebieskich, pogodnych oczach, długogłowy, o twarzy pociągłej, ozdobionej wydatnym nosem, już wtedy był całkiem łysy. Mówił poprawną, a nawet piękną polszczyzną, był utalentowanym mówcą i nieraz występował na ambonie z okazji większych uroczystości religijnych czy narodowych — rzadziej w katedrze, a więcej w kościele św. Katarzyny, właściwym polskim ośrodku katolickim. W r. 1915/16 był w Seminarium ojcem duchownym. Jego „punkty medytacji” religijnych, jakie codziennie wygłaszał klerykom przed mszą św. (15 min.) były dobre, instruktywne. Był cenionym ojcem duchownym. Jako spowiednik cieszył się ich zaufaniem, był również moim spowiednikiem i w tym charakterze dobrze go wspominam. Jednocześnie nauczał języka polskiego (literatury) i homiletyki oraz wdrażał kleryków w sztukę głoszenia kazań. Nie było to łatwe, gdy się zważy, że w Seminarium około 30% kleryków albo wogóle nie znało języka polskiego (Łotysze i Rosjanie), albo znało go słabo (Białorusini i Litwini), a już o znajomości literatury polskiej nie było mowy. W Petersburgu słynął jako doskonały mówca i kaznodzieja. W *Dzienniku Piotrogadzkim* drukowano jego kazania patriotyczno-religijne, np. z okazji śmierci Sienkiewicza (1916). W r. 1917/18 objął w Akademii Duchownej katedrę historii Kościoła, po odejściu na sufraganię w Żytomierzu dotychczasowego profesora ks. M. Godlewskiego. Tak samo po powrocie do kraju był profesorem tegoż przedmiotu w KUL (1918/19), w tym samym charakterze przeniósł się na Wydział Teologiczny do Wilna. Dwukrotnie był rektorem Uniwersytetu Stefana Batorego. Na jego wykłady chętnie uczęszczali słuchacze ze względu na ich walory językowe i dykcję profesora. Przemawiał pięknie i z zapałem. Naukowo w dzisiejszym znaczeniu nie pracował i poza drobniejszymi, raczej popularnymi artykułami o św. Franciszku z Asyżu i o Lutrze, nic nie wydał. W czasie wojny był internowany razem z innymi księżmi profesorami na Litwie, a po r. 1945 wykładał historię Kościoła w Seminarium Duchownym w Białymstoku. W 1948 r., po zgonie biskupa S. Łukomskiego, został powołany na ordy-

nariusza diec. łomżyńskiej i na tym stanowisku pozostał do śmierci, która nastąpiła w 84 roku życia (1969). Jako biskup diecezjalny był ceniony i lubiany.

Ks. Ignacy Świrski pochodził z polskiej robotniczej rodziny z Dorpatu. Seminarium duchowne ukończył w Petersburgu, a następnie został wysłany na studia do Uniwersytetu Gregoriańskiego w Rzymie, który ukończył ze stopniem doktora filozofii i teologii. W Petersburgu objął wykłady teologii moralnej w Seminarium. Miał wtedy 28 lat (ur. 1885). W r. 1916 prowadził w Akademii Duchownej wykłady tegoż przedmiotu. Po powrocie do kraju został powołany na profesora Wydziału Teologicznego USB w Wilnie i tam pozostał aż do wojny, wielokrotnie wybierany na dziekana, co świadczyło o jego umiejętności obcowania z ludźmi i jego uzdolnieniach administracyjnych. Po zajęciu Wilna przez Niemców ks. Świrski, aby uniknąć losu wywożonych do obozu księży, podjął pracę fizyczną jako ogrodnik i tak doczekał się wyzwolenia. Od r. 1945 był profesorem teologii moralnej w Białymstoku, a w 1946 został biskupem diecezjalnym w Siedlcach. Zmarł w 1968, w 83 roku życia. Był on średniego wzrostu brunetem, o gęstych, na bok zaczesanych włosach i głęboko osadzonych, szarych oczach, które miały jakiś wyraz prostoty i dobroci. Mówił poprawnie po polsku, a jako wykładowca posiłkował się bogatą mimiką twarzy i rąk, w czym przypominał Włocha (podobny był z wyglądu do św. Jana Bosco). Te zewnętrzne walory dykcyjne, idące w parze z dobrą znajomością przedmiotu, z umiejętnością popularnego wyłożenia zawiłych problemów moralnych sprawiły, że ks. Świrski był przez kleryków ceniony i lubiany. Kiedy w 1916 r. miał objąć wykłady teologii moralnej w Seminarium ks. Rancans, wśród spokojnych, zdyscyplinowanych kleryków omal nie doszło do buntu. Wysłano delegata do rektora zakładu i ks. biskupa Cieplaka, żeby nadal wykladał ks. Świrski. I tak się stało. Naukowo nie pracował, nie pisał i nie publikował, poza dwiema drobnymi broszurami. Znany był z prostoty w obejściu i z ujmującej życzliwości dla ludzi. Czasami spotykałem go na różnych zjazdach, a także w KUL na uroczystościach inauguracyjnych. Nie zapomniałem, że byłem jego uczniem i starałem się okazać mu mój wielki szacunek.

Ks. Kazimierz Reklaitis był kapłanem archidiec. mohylowskiej, ale pochodził ze Żmudzi. Razem z ks. Świrskim ukończył studia na Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie ze stopniem doktora filozofii i teologii i od r. 1913 był profesorem dogmatyki. Wzrostu średniego, blondyn, całkiem łysy, o niebieskich, dobrych oczach, krótkowidz, noszący okulary. Ks. Reklaitis był człowiekiem delikatnym, jakby zawstydzonym, trzymającym się na uboczu, widzianym tylko na wykładach, ale życzliwym dla kleryków. Był Litwinem, ale poprawnie mówiącym po polsku i nie nastawionym antypolsko, jak to nieraz wśród Litwinów bywało. Wykład prowadził po łacinie, lecz trudniejsze zagadnienia wyjaśniał po polsku. Znał dobrze swój przedmiot i był uważany za erudyte. Nie miał jednak poprawnej dykcji, mówił cichym głosem, powtarzał się, pewne litery „połykał”, nie liczył się z hierarchią ważności zagadnień, za długo zatrzymywał się nad drobnymi zagadnieniami, co sprawiało, że wykład nie zawsze był zrozumiany. Wymagał poprawnego przyswojenia materiału z podręcznika Tanquereya (*Synopsis theologiae dogmaticae*) i nauczył nas przedmiotu, a zarazem zmusił do lepszego opanowania łaciny, bo w tym języku trzeba było odpowiadać. Nie miałem z nim bliższych kontaktów poza wykładami. Słyszałem, iż był dobrym spowiednikiem, że ofiarnie pracował wśród Litwinów — wygnańców, jacy znaleźli się w Petersburgu. Robił wrażenie miłego, kulturalnego człowieka. Później się już z nim nie spotkałem. Słyszałem tylko, iż w 1919 r. opuścił Rosję, że na Litwie wstąpił do Zakonu Marianów, przeniósł się następnie



do Rzymu i był generałem tegoż zgromadzenia. Tam też zmarł podczas drugiej wojny światowej.

Ks. Lucjan Chwiećko ukończył w 1914 r. Akademię Duchowną w Petersburgu i od razu został powołany do Seminarium na profesora liturgiki oraz prokuratora, do którego należały sprawy gospodarcze. Zajęcia profesorskie były raczej natury praktycznej — uczył ceremonii kościelnych, jakie musi znać kapłan katolicki. Mówił głosem cichym, trochę niewyraźnym. W obejściu był człowiekiem uprzejmym, delikatnym, uczynnym. Jego główne zadanie — to zapewnienie warunków materialnych Seminarium Duchownemu. A było to zadanie niełatwe. W pierwszych dwóch latach wojny rząd rosyjski wypłacał kwoty pieniężne wystarczające na utrzymanie zakładu, a ceny mało się podniosły. Jednak od rewolucji Kiereńskiego wzrosła drożyzna, a od grudnia 1917 r. przestano wpłacać zasiłki na szkołę; ceny zaś rosły z dnia na dzień. Na ogół w l. 1915—17 mieliśmy odżywienie wystarczające, a w pewnych okresach nawet dobre. Dopiero w ostatnim roku istnienia Seminarium sytuacja pod tym względem była ciężka (mieszkałem wtedy w Akademii Duchownej, która była w lepszym położeniu). Ks. Chwiećko wrócił do kraju i w pierwszych latach był rektorem Instytutu Misyjnego w Lublinie, a następnie wyjechał do Pińska, gdzie pełnił obowiązki prokuratora Seminarium Duch. i skarbnika Kurii. Później był proboszczem w okolicach Pińska, w czasie wojny chroniąc się przed napadem, uciekł oknem, przesiedział przez zimną noc w lesie, przeziębił się i zmarł w Stołpcach w 1944 r.

Z profesorów świeckich przypominam sobie J. Ptaszyckiego, który wykładał historię i literaturę Rosji. Uczył dobrze, trzymając się jakiegoś podręcznika, ale czyniąc częste dygresje w języku polskim. On nas nieraz informował o sytuacji politycznej i sygnalizował ważniejsze wydarzenia. Jego ojcem był Stanisław Ptaszycki, profesor Uniw. w Petersburgu i Akademii Duchownej, a po powrocie do kraju — współorganizator KUL, bardzo zasłużony dla katolicyzmu i polskości w Ces. Rosyjskim.

Profesorem śpiewu kościelnego i kierownikiem chóru był Wincenty Gorzelniański pochodzący z Poznańskiego.

## 10. ŻYCIE KATOLICKO-KOŚCIELNE W ÓWCZESNYM PETERSBURGU

Na terenach rosyjskich, które do rozbiorów Polski do niej należały, katolicy-Polacy, a także katolicy innych narodowości stanowili około 10—20% ludności, ale poza tymi granicami ich odsetek był niewielki. Wyjątek stanowił Petersburg, ówczesna stolica Imperium Rosyjskiego, metropolia licząca wtedy ponad 2 miliony ludności, miasto rozległe, nowoczesnie zabudowane, piękne, malownicze, bogate w liczne muzea, wspaniałe sobory oraz imponujące carskie pałace, przepołowione szeroką i bystro płynącą rzeką Newą, a poprzecinane licznymi kanałami. Zbudowane na początku XVIII w. (1704) przez cara Piotra W. kosztem niesłychanych ofiar w ludziach i pieniądzech, miasto szybko się rozrastało. Polaków było sporo, zjechali tam zaraz po pierwszym rozbiorze Polski, aby szukać łaski imperatorowej, ratować swoje majątki przed konfiskatami, zdobyć intratną posady. Z latami napływu ten wzrastał. Polacy, którzy w kraju własnym, z trudem dostawali się do szkół, nie-licznych zresztą, w Rosji byli do szkół i na posady państwowe przyjmowani i zyskali sobie opinię zdolnych pracowników. Łatwiej dorabiali się tam majątku. Dlatego po większych miastach rosyjskich — nie tylko na dawnych ziemiach historycznej Polski — powstała liczna klasa polskiej inteligencji: nauczycieli szkół średnich,

adwokatów, inżynierów, lekarzy, a także dość licznych profesorów uniwersytetu, nie mówiąc już o przedstawicielach ziemiaństwa polskiego. Polacy grupowali się wokół kościołów katolickich, które tym samym były ośrodkami katolickimi i polskości.

Petersburg był skupiskiem wielotysięcznej rzeszy Polaków już przed wojną światową. A podczas wojny liczba ta podwoiła się. Urzędowy spis kościołów i duchowieństwa archidiec. mohylowskiej z 1915 r. (dane statystyczne zebrane w 1914, a więc przedwojenne), wylicza siedem kościołów parafialnych i 6 publicznych kaplic. Warto je przypomnieć: 1) parafia św. Katarzyny (ul. Niewskij Prospiekt 32), istniejąca od 1783 r., liczyła wtedy 30.800 wiernych i była obsługiwana przez 8 księży; 2) parafia katedralna pod wezw. Wniebowzięcia NMP (ul. 1 Rota 17, przy Seminarium Duch.), założona w 1879 r., miała 15.800 katolików; 3) parafia św. Stanisława (ul. Torgowaja), istniejąca od 1825 r., miała wiernych 10.200; proboszczem był wówczas ks. E. O'Rourke, późniejszy biskup gdański; 4) parafia Narodzenia Matki Boskiej na cmentarzu wyborskim (ul. Arsenalnaja 2) powstała w 1867 r. i liczyła 3.800 katolików; 5) parafia św. Kazimierza (ul. Uszakowskaja 221) miała duży kościół drewniany, zbudowany w 1900 r. i posiadała 11.500 dusz; 6) Francuzi mieli swój kościół parafialny „Notre Dame de France”, zbudowany 1908 r. Parafia liczyła urzędowo 1.520 katolików, w tym podobno wielu rodowitych Rosjan; 7) również Niemcy posiadali własną parafię pod wezw. św. Bonifacego (ul. Cerkownaja 9) liczącą 1.500 katolików.

Kaplice w Petersburgu, w liczbie 6, były jakby kościołami parafialnymi, bo miały swoich przez państwo opłacanych kapelanów. Warto tu wspomnieć o kościele maltańskim (ul. Sadowaja 26), przy szkołach oficerskich, istniejącym od czasów cara Pawła I, mającym trzech kapelanów-kanoników; przy tym kościele skupiali się Rosjanie-katolicy. Nabożeństwa odbywały się tam po łacinie, a kazania po polsku i rosyjsku. Wspomnę jeszcze o kaplicy Najśw. Serca NMP (ul. Kiryłowskaja 22), przy zakładach ks. Maleckiego, który pobudował szkoły, warsztaty, internaty. Założyciel i kierownik ks. Antoni Malecki został później biskupem w Rosji, a zmarł w Warszawie w latach trzydziestych. Z nim współpracował i opiekował się młodzieżą ks. Edward Szwejnic, późniejszy „apostoł młodzieży akademickiej” w Warszawie (zm. 1934).

Oprócz tych kaplic publicznych było jeszcze 7 kaplic prywatnych, ale również dla publiczności dostępnych. Np. 2 kaplice przy Gimn. św. Katarzyny, męskim i żeńskim, kaplica przy zakładach Sióstr Skrytek Rodziny Marii (Wasilewskij Ostrow, 14 linia 25), czy kaplica przy 2 Korpusie Kadetów (ul. Żdanowskaja 11—13). Spis urzędowy archidiec. mohylowskiej z 1914 r. podaje liczbę katolików w Petersburgu na 74.620. Liczba ta podwoiła się w r. 1915, kiedy w stolicy Cesarstwa osiedlili się wygnańcy z Królestwa i z zachodnich guberni. Obliczano, że wtedy było w Piotrogradzie ok. 150.000 katolików, z czego 20% nie-Polaków (Łotyszów i Litwinów). Jako kleryk byłem wysyłany do kilku kościołów, a zwłaszcza do św. Katarzyny, który był największym, bogatym kościołem w Petersburgu i gdzie najczęściej odbywały się celebry biskupie, a należałem do asysty. Zwłaszcza w święta byliśmy, klerycy, kierowani do różnych kościołów do pomocy duszpasterskiej. Kościoły pełne były wiernych.

Biskupem sufraganem i ówczesnym rządcą archidiec. mohylowskiej był wtedy ks. Jan Cieplak. Był wtedy jeszcze w sile wieku, po pięćdziesiątce, ale wyglądał starzej. Niskiego wzrostu, prawie łyśy, siwawy, o miłym ujmującym spojrzeniu swych niebieskich oczu, od wielu lat związał się z Petersburgiem. Był wprawdzie kapłanem diecezji kieleckiej, ale zaraz po ukończeniu Akademii Duchownej zatrzy-

mano go jako wykładowcę, a później profesora tejże uczelni. Później został biskupem sufraganiem archidiecezji i jako pierwszy w historii Kościoła w Rosji odbył wizytację kanoniczną katolików na Syberii, przebywając koleją i końmi w ciągu dwóch lat tysiące kilometrów. Ceniono go i lubiano. Po śmierci arcyb. W. Kluczyńskiego (1914) został wikariuszem kapitulnym tej olbrzymiej archidiecezji.

W końcu 1917 r., kiedy u władzy był Kiereński, rząd rosyjski odwołał z wygnania biskupa E. Roppa i Stolica Apost. mianowała go metropolitą mohylowskim. Był on wysokiego wzrostu, szczupły, nosił brodę, wtedy siwawą, podobnie jak siwe miał już włosy, mówił poprawną polszczyzną, ale ze wschodnim akcentem. Pochodził z baronów kurlandzkich. Biskup Cieplak pozostał tylko sufraganiem i pracował do r. 1923. Arcyb. Ropp wrócił wcześniej do kraju i zamieszkał w Warszawie. W lutym 1918 r. udzielił mi święceń subdiakonatu, a przed wyjazdem do Polski zaopatrzył mnie jako studenta Akademii Duchownej w Petersburgu w list polecający do władz niemieckich, prosząc o zezwolenie mi na przejście kordonu wojskowego. List ten oddał mi duże usługi w czasie przekroczenia granicy w dniu 30 czerwca 1918 r.

#### ZAKOŃCZENIE

Mój pobyt w Rosji znalazł epilog w końcu czerwca 1918 r. Wtedy to, zaopatrzywszy się w zaświadczenie władz radzieckich, wybrałem się z bratem Antonim, który przed paru dniami złożył egzamin maturalny w Gimnazjum Polskim w Petersburgu, do granicznej stacji Torosзино, odległej o 4 godz. drogi kolejowej od stolicy. Tam zastaliśmy cały obóz ludzi, powracających do Polski, czekających na przepustkę graniczną. Szczęśliwie, opatrnościowo otrzymaliśmy taką przepustkę tego samego dnia i dojechaliśmy wagonem niemieckim do Pskowa. Tu działał już Polski Komitet Obywatelski, od którego otrzymaliśmy dalsze dokumenty wyjazdowe. Następnego dnia grupa ok. 40 osób powracających do kraju udała się koleją pod opieką podoficera niemieckiego. Jechaliśmy przez Wilno, Białystok do Warszawy. Tu przenocowaliśmy obaj w Hotelu Polonia i wyruszyliśmy koleją przez Dęblin do Radomia, gdzie znów trzeba było nocować. W dniu 2 lipca, okazji furmanką, dostaliśmy się do Rzecznówka — przez Skaryszew — Iłżę. Na nasze spotkanie wyszedł kochany ojciec z rodzeństwem i sąsiadami. Wieczorem znaleźliśmy się w domu rodzinnym, witając z płaczem drogą mamę, siostry, braci i znajomych. Wróciliśmy zdrowo i cało, obaj z bratem, choć podniszczyliśmy sobie zdrowie (brat nabawił się choroby serca, na którą zmarł w 1952 r.), ale nie zmarnowaliśmy lat nauki i wzbogaciliśmy swe doświadczenie życiowe.

W domu rodzinnym pozostałem tylko przez trzy miesiące. Biskup sandomierski Marian Ryx postanowił wysłać mnie na dalsze specjalne studia na uniwersytet w Innsbrucku (Austria). Tam też udałem się na trzy lata w końcu września 1918 r., ale tym razem już dobrowolnie i zgodnie z zarządzeniem władzy diecezjalnej.

## SPIS TREŚCI

Wstęp . . . . .	[1]
1. Droga na wschód . . . . .	[2]
2. Seminarium Duchowne . . . . .	[3]
3. Środowisko kleryckie . . . . .	[6]
4. Koledzy . . . . .	[8]
5. Porządek dnia w Seminarium . . . . .	[10]
6. Nauka . . . . .	[12]
7. Święta i wakacje . . . . .	[13]
8. Ważniejsze wydarzenia . . . . .	[16]
9. Sylwetki profesorów . . . . .	[20]
10. Życie katolicko-kościelne w ówczesnym Petersburgu . . . . .	[25]
Zakończenie . . . . .	[27]